

# IACTE

*W życiu piękne są tylko chwile.*

*Dżem*

## I

### W Dolinie Czasu

To w Dolinie Czasu – w Dolinie Czasu Podążający Za Cieniem, łowca zwierząt i ludzi, czarownik i znachor, pół Cayuga, pół Francuz, zorientował się, iż ktoś go ściga. Tropiciel jest tropiony. Nastąpiła pora powrotu rzek do źródeł. Jelenie polują na wilki. Ktoś idzie po śladach Podążającego Za Cieniem, ktoś depta zdeptaną przezeń ziemię.

Delikatnie obrysował końcem wielkiego łuku obcy odcisk buta, odcisk buta białego. Co za wielka stopa. Olbrzym. Jaki wielki, taki głupi. Ślepy by dostrzegł takiego tropiciela. Nieregularny ciąg skaz piaszczystej gładzi ciągnął się brzegiem strumienia przez ładnych kilkanaście metrów, równoległe do śladów Podążającego Za Cieniem, specjalnie tu przezeń wczoraj pozostawionych dla pogoni, wówczas zaledwie przypuszczalnej. Teraz to już pewność. Jeden biały.

Podążający Za Cieniem po raz pierwszy zauważył, że ktoś za nim idzie jeszcze na przełęczy. Padlinożercy go ostrzegli: znak na niebie. Nad jarem, gdzie pozostawił był truchło karibu, oskórowane i pozbawione co smaczniejszych części mięsa, unosiło się ich pół tuzina. Obserwował je przez chwilę z grani. I wtedy jeden runął nagle w dół jak kamień; a zaraz potem drugi. Reszta pospiesznie jęła się wspinać na wyższy pułap. Cóż to za boski łucznik, zdumiał się Podążający Za Cieniem, nie doczekawszy się huk strzelby.

Zgodnie z zasadą wiecznej podejrzliwości przyjął, iż jest poprzez te dzikie ostępy tropiony. Zaczął zastawiać pułapki; jego tropiciel wpadł w pierwszą z nich: zmusiwszy go do przejścia po odpowiednim podłożu, Podążający Za Cieniem parę mil dalej rozplątał się w powietrzu: strumień, skała, strumień, kamieniste zbocze – i ani śladu za sobą. Zatoczył szerokie półkole i oto stał nad swym własnym tropem sprzed dnia. Biały olbrzym jest gdzieś w przodzie, bardziej na południowy zachód.

Kucnął, przymrużył lewe oko i ocenił długość kroku mężczyzny: naprawdę wzrostu musi być nieprzeciętnego. Co tu robi? Czemu zapuścił się tak głęboko na terytorium wolnych plemion? Dlaczego za mną idzie? I jak długo? Od samej faktorii nad Erie? To niemożliwe. Jakież mógłby mieć powody? Zemsta? To jest siła, która byłaby w stanie go do tego pchnąć, ludzie większe szaleństwa popełniają z nienawiści, dla nienawiści. Ale – zemsta za kogo?

W Dolinie Czasu nie mieszka żaden szczep, nie jest ona niczym stałym terenem łowieckim, to ziemia neutralna. Na wschodzie, trzy dni drogi stąd, żyją Ludzie-Węże; synowi jednego ze starszych wioski pomógł niegdyś w upolowaniu niedźwiedzia. Zawsze mógłby zwrócić się do nich o pomoc. Choć miał nadzieję, że nie będzie to konieczne.

Ruszył po śladach własnych i białego. Biegł. Powinien dojść tamtego przed zmierzchem. Znał swój rytm i znał odległość. Skręcił w las; gałęzie siekły go po twarzy, zahaczały o niemal proste łączysko ukośnie przecinające plecy – pozostawiał za sobą dodatkowy poszept rozbudzonej puszczy. Ciężka sakwa objęła mu niezgodnie z tempem biegu kręgosłup, mimo podwójnej skóry kurtki czuł twardą krawędź jakiegoś upakowanego w torbie przedmiotu. Był świadomy najmniejszej nierówności gruntu

pod miękkimi podeszwami mokasynów; wolałby biec boso, by nic nie zakłócało intymności jego kontaktu z ziemią: nie pieści się kobiety dłonią w rękawicy. Biali ziemi nienawidzą, okazują jej pogardę; zadziwiająca jest ta łatwość, z jaką wykrzesują z siebie równie skrajne, co absurdałne uczucia. Znał ich, żył z nimi, więc wiedział. Może taki właśnie jest ten olbrzym: ogłupiały, oszalały z pogardy; założył się z kimś, że upoluje Indianina – dwóch, czterech, dziesięciu – to możliwe, takie rzeczy się zdarzają.

Jakieś zwierzę przemknęło obok, równoległe do pohuraganowego zawału – cień ciemny pośród cieni zielonych. Tropiciel wciągnął powietrze przez nos: nic nie wyczuł, wiatr był z nim. Gdzieś daleko rozstukał się dzięcioł, odpowiedziało mu echo. Tropy znikwały, to znów się pojawiały – nie zwracał na nie uwagi, biegł na pamięć.

W Dolinie Czasu rzeczywistość jest silniejsza, nie sposób się jej oprzeć, uległby jej ślepy, głuchy, pozbawiony węchu i czucia. Tu nawet sny są prawdziwsze. Doznania atakują człowieka z bolesną nachalnością. Woda jest sto razy bardziej wilgotna, rośliny i zwierzęta tysiąc razy bardziej żywe, powietrzem można się upić. Trzeba się naprawdę starać, by nie ulec przypadkowemu zauroczeniu przez kamień śródkorzenny, barwę kory, rozedrganie krawędzi liścia, pieśń wiatru. To święte, święte miejsce. Nie przelano tu ludzkiej krwi od niepamiętnych lat. Ale też nigdy dotąd nie powstała tu stopa białego.

W Dolinie Czasu, gdzie wszystko jest nowe i pierwsze – nie zostanę, nie chcę zostać pierwszym mordercą.

Słońce stało dwie dłonie nad granią, gdy Podążający Za Cieniem dotarł do żlebu, za którym kończył się jego stary trop. Zwolnił i zdjął z pleców łuk, wyższy od niego samego. Wspiął się na zbocze i skręcił ku strumieniowi, wybierając drogę na skróty. Szedł teraz powoli, naprzeciw nieregularnym porywom wiatru, wsłuchując się w każdy szept puszczy; przekrzywił lekko głowę, jakby usiłując pochwycić jakieś zakazane dla zwykłych śmiertelników głosu z sąsiedniego świata – długie, czarne, proste włosy opadały mu w nieładzie na pierś i plecy, dziwnie wyglądał w takiej pozie. Szedł. Ziemia przyjmowała jego stopy miękko, bezgłośnie. Omijały go gałęzie. Oczy jego prawie się nie poruszały: dawno opanował był sztukę kontroli postrzegania peryferyjnego, nie umykał mu żaden ruch, a teraz nie wzrok, lecz słuch stanowił zmysł dominujący. Mijał drzewa jak ludzi w zapatrzonym w celebrę tłumie. Teren jął ponownie opadać: zbliżał się Podążający Za Cieniem do strumienia, od przeciwnej, niż poprzednio strony. Jak zawsze, w chwili napięcia, w preludium niebezpieczeństwa – rozswędziały go boleśnie blizny po straconych palcach.

Szum wody na kamieniach. Prześwity śróddrzewne.

Zatrzymał się za wysokopienną sosną; stąd widział strumień i skalny zawał, przez który się on pienieł. Wolna od zarośli przestrzeń szeroka była na jakieś trzydzieści kroków. Na drugim brzegu znajdowała się piaszczysta polana, czarna plama zgaszonego ogniska ściągała spojrzenie do jej środka. Nad wodą unosiły się chmury owadów. Wśród kamieni zawału sunął wąż. Zachodzące słońce rozróżowiło wiecznie zbełtaną powierzchnię potoku.

Instynkt. Padł na ziemię na ćwierć oddechu przed uderzeniem kuli w pień sosny. Posypały się nań odłamki kory. Nie mógł pojąć co się dzieje. Nie było, nie było najcichszego nawet huku wystrzału. Jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mu do głowy: przypadkowy pocisk ze zbyt wielkiej na dźwięk odległości – odpadło po pierwszym zerknięciu na bliznę po kuli na ciele sosny: strzelano z dołu, z drugiej strony strumienia, spod zbocza.

Przyplaszczony do ziemi, wycofał się znad szczytu skarpy, wężowym sposobem bardziej się wijąc, aniżeli czołgając; od zapachu ściółki przemknęło mu wspomnienie dusznego, upalnego lata z dzieciństwa. Dochodziły go zza strumienia jakieś hałasy, lecz nie mógł się w nie pilnie wsłuchać, nie miał czasu i okazji, musiał uciekać, licząc na to, iż strzelec zajęty jest ponownym nabijaniem broni.

– Zatrzymaj się! – krzyknął po angielsku niewidoczny mężczyzna. – Wróć!

Cóż to za głupiec niesłychany, zdumiał się Podążający Za Cieniem; po natężeniu i nikłym pogłosie

krzyku ocenił dzielącą ich odległość na jakieś sto kroków. Wystarczy. Osłonięty od strony strumienia szerokim pniem wiekowego dębu, wstał i wyprostował się, już ze strzałą na cięciwie i łukiem wpełnapiętym, ścisłanym w trójpalce dłoni. Nie bardzo rozumiał jakim cudem został spostrzeżony, ale skoro stało się, nie miało to teraz znaczenia – nie myśleć o tym: przeszło, minęło – obojętne. Zastanawiało go natomiast niemalże szaleńcze postępowanie strzelca. Czyżby faktycznie wariat? Opętany olbrzym?

Słyszał go doskonale, jak wspinał się na skarpę nadwodną i przedzierał przez las, nie cichszy od rannego niedźwiedzia.

Bliżej i bliżej. Tak blisko, że Podążający Za Cieniem odłożył łuk i wyjął zza pasa tomahawk; tamten przebiegnie tuż obok. I rzeczywiście. Już słyszał jego oddech. Jęki ziemi ugniatanej tymi wielkimi stopami. Zamarł, przyciśnięty do pnia, sprężony niczym drapieznik przed skokiem.

A potem wszystko się jakoś skotłowało, pomieszało, chaos zapanował absolutny w porządku wydarzeń – i w pamięci tropiciela zapisały się one mozaiką białych faktów, pozbawionych przyczyny i skutku.

Więc uderzył, trafił olbrzym, tego był pewien, widział obuch tomahawka odskakujący od jego czaszki. Odstąpili, zakreślił się wokół siebie. Któryś z nich krzychał. Czy Podążający Za Cieniem uderzył po raz drugi? Czy też to tamten go zaatakował? Nie mógł sobie później przypomnieć. Ciągłość czasu powróciła w chwili, gdy obaj stali naprzeciwko siebie, o trzy kroki oddaleni, mierząc się wzrokiem; olbrzym celował w Podążającego Za Cieniem z tej swojej strzelby, a sam Podążający Za Cieniem zamarł w pół zamachu tomahawkiem, bojąc się sprowokować mimowolny strzał. Olbrzym dyszał.

– Luis Lavier – sapnął po chwili – nie uciekaj, nie chcę ci uczynić krzywdy. – A wciąż mierzył z biodra do tropiciela, ta jego przedziwna krótkolufa broń (a nie pistolet przecież!) ani drgnęła.

Cayuga zastanawiał się w panice nad czymś innym; w istocie ledwo zarejestrował słowa białego i fakt, że zna on jego francuskie nazwisko. Martwiło Podążającego Za Cieniem czy aby nie rozgniewał duchów tego miejsca, czy nie zbecześcił Doliny, czy nie dopuścił się świętokradztwa atakując tu człowieka. Może to dlatego jego cios – wszak śmiertelny – nie wyrządził olbrzymowi żadnej szkody? Czy duchy były przeciw niemu? To niepokojąca perspektywa.

– Nie spodziewałem się ciebie z tej strony, nie rozpoznałem cię. Nie chcę cię zabijać. Jesteś mi potrzebny. Poszedłem za tobą, żeby cię wynająć.

Co mam robić? – myślał tropiciel. Należy się wystrzegać gniewu zmarłych. Niebezpiecznie jest mieć w nich wrogów. Obym tylko ich bardziej nie rozsierdził.

Powoli wsunął tomahawk za pas i unióś na wysokość twarzy puste dłonie. Łuk leżał pod dębem; nawet nań nie spojrział.

Biały lekko opuścił broń. Spróbował się uśmiechnąć; niezbyt mu to wyszło.

Podążający Za Cieniem zaczął się cofać, powoli stawiał wstecz nogę za nogą. Teraz mógł się przypatrzeć olbrzymowi; jedynie przez porównanie wydawał się on wielki, zbudowany był proporcjonalnie i nie wyglądał na żadnego dziwoląga. Za to ubranie doprawdy miał dziwne i z dziwnym akcentem mówił. Popatrywał cokolwiek skonsternowany spode łba; długie jasne włosy spięte miał na karku, pozbawionego blizn wysokiego czoła nie znaczyła żadna zmarszczka: młodszy był od Cayugi, młodziej wyglądał.

– Pójdiesz za mną – powiedział bez śladu intonacji pytającej. Unióś strzelbę. Rozstawił szerzej nogi. Wszystko w nim było groźbą. Czaiła się ona i w lśnieniu tych metalowych przedmiotów, które wisiały mu przy pasie i na sprzączkach kurtki.

Podążający Za Cieniem na tyle długo żył wśród białych, by przyswoić sobie ich sposób rozróżniania tchórzostwa od ostrożności. Teraz więc tylko powoli postąpił w bok, pochylił się i podniósł łuk. Nie spuszczał oczu z jasnowłosego; a i tamten z niego.

– Uważaj – rzekł olbrzym – ja wiem jak szybko potraficie tego użyć. A tu i tak nie jesteś w stanie nic uczynić wbrew mej woli i myśli.

Po czym przerzucił strzelbę lekko w bok – swobodnie, lecz złowróźnie szybko – i nacisnął spust. Od dębu odprysnął spory kawał kory. W ciszy. Żadnego huku wystrzału. Cayuga ani drgnął. Lufa już na powrót była ku niemu skierowana. Już wiedział, że ta broń ładowania nie wymaga.

I w takim porządku przeszli lasem do skarpy, w dół, przez strumień i na polanę. Podążający Za Cieniem, rzecz jasna, szedł przodem, nie widząc białego mierzącego mu w plecy – choć po prawdzie słyszał go wyraźnie: mężczyzna po prostu nie umiał chodzić po puszczy. I przez chwilę tropiciel nawet rozmyślał czy aby nie uskoczyć w bok, nie uciec niespodzianie – lecz aż tak bardzo nie dowierzał zapewnieniom olbrzyma.

Dotarli do wygaszonego ogniska. Tu blondyn kazał Cayudze się zatrzymać, po czym zniknął na moment między drzewami; wrócił z wypchanym czymś workiem, który zarzucił sobie na plecy. Zaskoczył szamana uśmiechając się doń szczerze. Przełożył w tył strzelbę zawieszoną na jakimś dziwnym rzemieniu. Spojrzał w niebo. Przypatrzył się tym swoim świecidełkom. Potem rozpoczął rytuał.

## Czary, czary

– Trzymaj się blisko mnie!

Ale przecież w ogóle się nie poruszał; siedział zmartwiał z łukiem przez uda, sakwą pomiędzy nimi, zgarbiony, ze wzrokiem panicznie utkwionym w horyzoncie, starając się ignorować przerażające manifestacje magii olbrzyma. Po prawdzie było to niemożliwe.

Strumień przebłysnął się gorąco w srebrnołuskiego węża, co miast ślepi posiada wklęsłe zwierciadła; gad wytańczył w górę na ogonie, rozkolebał się niepewnie i skoczył spiralnym łukiem, pozostawiając za sobą suche łożysko potoku, z tysiącem zielono obrosłych, gładko obtoczonych kamieni. Podążający Za Cieniem odruchowo jeszcze bardziej się skulił i pochylił, gdy lśniący potwór ze świstem sunął ponad. Spojrzał potem za nim: wąż pożerał niebo. Wgryzł się w nie śmiertelnie, wbił kły i wsączył jad; przedziwnym sposobem Cayuga widział tę trującą ciecz, jak pędzi pod powierzchnią materii nieboskłonu od horyzontu do horyzontu, coraz cieńszymi i cieńszymi żyłami, niczym szczelinami rzeczywistości, by w końcu rozlać się brudnobrązowo po całej sferze niebieskiej. Dotarłwszy do Słońca jad przebarwił je na zielono; zieleń szybko wyblakła – Słońce się skurczyło, przygasło i zbladło do trupiej bieli. Od tego wszystkiego wicher taki rozsalał się po Dolinie, że gięło i łamało konary grube jak ramię mężczyzny. Tropiciel nieomal oślepl od podniesionego pyłu i kurzu. Ogłuchł od demonicznego wycia burzy. Stracił z oczu jej ojca, zniknął mu gdzieś olbrzym. Trzęsła się ziemia. Drżał w posadach świat. Podążający Za Cieniem jął się modlić. Słowa wpółwypowiedziane połykał huragan. Gesty niedopełnione zamazywał mrok i zawierucha. A mrok ten się zagęstniał: ziemia, wzorem węża wody, poczęła pożerać zatrute niebo. Czarne szczęki przełęczycy zaciskały się na nim okrutnie powoli – coraz bliżej i bliżej i bliżej siebie szczyrzyły się, wyrastające spośród szczerbiastych działel grani, krzywe kły górskich szczytów, jeszcze przed chwilą tak łagodnych. Cayuga wrzeszczał. Jesteśmy połykani! Nadgryzione Słońce. I nie ma go. Nieba coraz mniej. Ciemność – i huk.

Otworzył oczy w szoku po nastaniu ciszy.

To była jakaś jaskinia. Bardziej to wyczuł, niż zobaczył, bo mrok, w odróżnieniu od hałasu, nie minął.

We wnętrzu ziemi, pomyślał; w boskim żołądku. Grota przełyku. Podniósł się na kolana. Szmer jego ruchu poniosło chłodnym echem.

Święty dym, przemknęło mu; znajduję się pod wpływem jakichś ziół: ta lekkość... wszystko dziwnie lekkie. Nienaturalnie realne; nawet dotyk kamienia boli. Oszołomienie Cayugi było tak wielkie – wślepiał się w półmrok, macał szaleńczo przestrzeń wokół, dyszał, niczym z topieli wyciągnięty – że raz

i drugi ujrawszy sylwetkę ludzkiego cienia, nie skojarzył jej z czymkolwiek, zignorował jako plamę bezświatła. Dopiero potem pomyślał: bóg – demon – człowiek – biały olbrzym.

Krzyknął: – Ty! – i po angielsku: – Ty! Ty! Demonie! – i w ojczystym narzeczu: – Rozkazałeś skale mnie pożreć! Pogrzebałeś mnie! Biały Diabło! – i znowu po angielsku: – Zabiję cię!

Ale nawet kroku ku niemu nie postąpił.

Cień się rozszczepił, przegęstnił i błysnął nagłym blaskiem, w szybkim jak zwięźnienie źrenicy samozniszczeniu i wyświeceniu sylwetki olbrzyma. Olbrzym dzierzył kulę światła w uniesionej ponad głowę ręce. Poza tym nie zmienił się, także w owym ponurym spojrzeniu spod ciężkich nawisów łuków brwiowych.

– Za mną – rzekł, odwrócił się i ruszył przed siebie, w ustępujący posłusznie mrok.

Podążający Za Cieniem podążał za światłem. Tyle się wahał i zastanawiał, ile czasu zabrało mu podniesienie łuku i sakwy. W rzeczy samej nie miał wyboru.

Grota była olbrzymia. Szli i szli. Żadnych ścian, żadnych nierówności podłoża. Ich dwóch i ich cienie. A jak sprowokują głośniejszy dźwięk, to aż przerażenie bierze od wieloszeptnej głębi oddechu jego echa. Żołądek Ziemi. Ochroń mnie, Duchu Duchów, wyprowadź z Podziemi. Wieczne posłuszeństwo, Duchu Duchów; dary jakie chcesz, ofiary jakie chcesz. Przywróć mi Słońcu!

Coś przed nimi. Słup. Wielki. W nieskończonej ciemności podstropowej ginie. Podeszli bliżej. To były spiralne schody.

Kość Ziemi. Jęli się wspinać po niej. Wyżej i wyżej, wciąż skręcając za lewą ręką. Liczył stopnie, żeby nie myśleć – źle myśleć podczas bitwy, oddaj się teraźniejszości, strach to dziecko czasu przyszłego. Stopień. Stopień. Stopień. Buty olbrzyma migają mu pośród skłębionych cieni na wysokości oczu. Schody były bardzo wąskie, lecz zabezpieczone wysoką, osiatkowaną balustradą, że praktycznie nie sposób było z nich spaść. Stopień. Stopień. Stopień. Drewno? Kamień? Co to za materiał? Stukał weń końcówką łuku. Wyklął się z tego jakiś specyficzny rytm. Tylko olbrzym fałszował. Szybko szedł. Stopień. Stopień. Stopień. Tysiąc siedemset czterdzieści dwa, tysiąc siedemset czterdzieści trzy... koniec.

Wyszli. Jeszcze jakiś kręty korytarz w skale – i oto już światło dnia, powietrze wielkich przestrzeni, zapach życia. Podążający Za Cieniem krzyknął i wybiegł na zewnątrz; wyprzedził olbrzyma. Za bardzo się pospieszył, zmysły nie zdążyły go ostrzec – szok powalił Cayugę na kolana.

– Śmieeeeerć!

To nie był jego świat. Już po zapachu powinien poznać. Zły, obcy zapach, zapach niezrozumiały: warkocz woni nieznanych i niebezpiecznych. I dźwięki: wiatr tak nie wyje, wiatr tak nie świszcz, las tak nie szumi. Ale musiał to zobaczyć. Trupioblade, skurczone słońce. Niebo koloru błota. Za małe, za ciasno objęte horyzontem. Krajobrazy, jakie mogą się przyśnić tylko w nocy po Obrządku Noża. Chora, granatowo-czarna powłoka puszczy... to nie puszcza, to nie drzewa. Podmienione, skarłale, spotworniałe. Chmury niczym włosy rozczesane na nieboskłonie. Lecą jakieś monstrualne ptaki... to nie ptaki. W oddali demony wrzeszczą na wiatr. Płonie fioletowym ogniem fragment widnokregu; zmysł, który nie zawiódł go od dzieciństwa, zawodzi Podążającego Za Cieniem teraz: nie potrafi rozpoznać stron świata.

– Śmieeeeeerć!

Biały olbrzym pochylił się nad nim i dźgnął go w szyję srebrnym szponem. Tropiciel zwiotczał, osunął się na ziemię i stracił przytomność.

## Jesteś snem

Nie po raz pierwszy budził się związany; wiedział, że skrupowano mu nogi i ręce właściwie zanim na dobre się ocknął. Więc nie otwierał oczu. Słuchał.

Rozmawiali po angielsku, ale połowy słów nie rozumiał i domyślał się ich znaczenia z kontekstu; mylił go również ten przedziwny akcent.

– ...musieli je wygasić. Pomijając już destabilizację plazmy, współczynnik absorpcji czasy skoczył w górę. Poza tym siada cała hydraulika ramion. Są przecieki. Parę dni temu rozsadziło czwarty pierścień cumowniczy. Dekompresja. DeWonte i jego ludzie tną wszystko na kawałki i ładują na te szybowce.

– Czemu? Co z wahadłowcami?

– Zostawili sobie jeden dla bezpiecznej ewakuacji, jako szybowiec komfortowy. Bo i taki z nich pożytek. Niedawno na Piszczelach próbowaliśmy podnieść kilka.

– I co?

– Czworo zabitych. Teraz już nikt ci nie wsiądzie. A na automatykę nie masz co liczyć. Na orbicie jeszcze jakoś to idzie, ale tu... przecież wiesz – kalkulatorów możesz użyć co najwyżej w charakterze świecidełek dla Trupów.

– Chyba się upiję... Charlie, na miłość boską, to były przecież ledwo dwa tygodnie!

– Fitzpatrick zaczyna budować lepianki.

– Fitzpatrick jest wariat.

– Budweiser?

– Nic mocniejszego?

– Niestety.

– Skąd masz?

– Podwędziłem z ostatniego zrzutu.

Coś trzasnęło, rozległ się syk; Biały Diabeł westchnął ciężko.

– Co zrobisz z tym dzikusiem? – spytał ten drugi.

– To tropiciel, geniusz polowania. Rozumiesz, francusko-angielskie pogranicze, Ameryka Północna, osiemnasty wiek. Indianin, ale ojciec biały, żeby się można było w ogóle dogadać. Zastanawiałem się nad Pigmejami, ale to już przesada.

– Uch... ale cuchnie. Na co ci on?

– A jak myślisz? Wytropi mi Saint-Pierce'a.

– No tak... twoja stara obsesja. Odpuściłbyś sobie.

– Przecież to wszystko jego wina!

Dłuższą chwilę milczeli. Podążający Za Cieniem analizował niezrozumiałe słowa i zdania.

– Może lepiej już się zbieraj – mruknął Charlie. – Do Piszczeli jest kawałek.

– Jak tam landrover? Na chodzie?

– Mhm... ktoś go sobie pożyczył. Możesz wziąć tylko tego jeepa. Ej, puszki są teraz cholernie cenne!

I weź mi tu nie śmieć.

Biały Diabeł – rozpoznał go tropiciel po zapachu – złapał Cayugę za ramię i zaczął nim potrząsać i szarpać. – Pobudka, pobudka – mruczał.

Podążający Za Cieniem otworzył oczy.

– Wstawaj, szamanie – uśmiechnął się doń szyderczo olbrzym. – Nastał dla ciebie czas cudów. Trafiłeś do Krainy Wiecznych Łowów. No, uwolnię cię, jak tylko się przekonam, że nie zamierzasz popełnić jakiegoś szaleństwa.

Cayuga nie odpowiedział. Rozglądał się po wnętrzu. Była to zwykła, niskostropowa chata, wzniesiony z drewna jednoizbowy budynek o paru wąskich oknach i mocnych drzwiach – myśliwska chata obronna. Potem zogniskował spojrzenie na meblach i mniejszych przedmiotach wypełniających pomieszczenie – i skojarzenie mu umknęło. Powtórnie przejrzał na oczy. To drewno – w istocie nie było drewnem, ciałem drzew, jakie znał. Szyby w oknach – tylko przezroczystością przywodziły na myśl szkło. A kiedy zaczął się zastanawiać nad zalegającymi pod ścianami stosami metalu – najróżniejszego kształtu, barwy i stopnia

zniszczenia – zupełnie stracił panowanie nad wyobraźnią.

Przypomniał sobie przedśmiertny widok ciemnoniebieskiego pogórza i błotnistej nieba. Krzyknął bezgłośnie na krótkim wydechu.

Drugi z rozmówców – Charlie – niewiele był niższy od Białego Diabła. Siedział przy stole na krześle wykonanym z dziwnego materiału, ubrany jedynie w niemal pozbawioną nogawek, górną część spodni, i bawił się metalicznie połyskującym przedmiotem walcowatego kształtu, pokrytym jaskrawymi malunkami i krzywymi ściegami czegoś, co wyglądało na pismo: Podążający Za Cieniem nie umiał czytać.

– Biedak jest przerażony – ziewnął Charlie.

Biały Diabeł spojrzał badawczo tropicielowi w oczy; Cayuga nie odwrócił wzroku, znał ten rytuał. Diabeł – który, pozostawszy w swych myśliwskich spodniach, miał kurtki miał na sobie jedynie bezrękawną, wciągana najwyraźniej przez głowę, jednolicie czarną, a niemożliwie cienką koszulkę – zaczął grzebać po kieszeniach, w końcu coś wyjął, rozległ się trzask i wyblstnęło mu z dłoni smukłe ostrze noża. Kilkunastoma szybkimi cięciami uwolnił tropiciela.

Podążający Za Cieniem powoli usiadł, wstał i odsunął się od białych. Nigdzie nie dostrzegł swoich rzeczy: był bezbronny. Uniósł na wszelki wypadek puste dłonie.

– Wyzbywam się zemsty na tobie, Biały Diabło – rzekł po angielsku. – Choć mam do niej wszelkie prawa. Nie chcę z tobą walczyć. Pozwól mi odejść w pokoju. Pozwól mi wrócić do domu, Biały Diabło.

Tamci popatrzyli po sobie; olbrzym schował nóż.

– Cóż – czknął Charlie – pozwól mi wrócić do domu, co, Biały Diabło? – rozchichotał się dziko.

Olbrzym w lustrzanym geście pokazał puste ręce. – Nazywam się Anouki Spieglass. Mów mi Anouki. Przykro mi, Luis, ale twój powrót do domu nie jest możliwy. – Też był podпиты, ta powolność wymowy brała się nie tylko z jej staranności.

– Chcę jedynie wrócić.

– Wiem. Przykro mi. To niemożliwe.

– Po prostu wróć.

– To niemożliwe, rozumiesz? Nie-mo-żli-we.

– Pozwól mi wyjść. Zwróć moje rzeczy.

Włączył się Charlie. – Słuchaj no, mądralo. Jak ci Anouki mówi, że niemożliwe, to niemożliwe. Dokąd chcesz wrócić? Tamtego miejsca już nie ma. Nie istnieje.

– Czy jestem więźniem? Czy mogę wyjść?

Charlie zazezował w głąb walca. – Będziesz miał z nim ciężką przeprawę – mruknął.

Biały Diabeł długą chwilę stał tak w milczeniu. Wreszcie skinął na Podążającego Za Cieniem i ruszył ku drzwiom.

Wyszli na zewnątrz. Był wieczór; poza kątem padania promieni chorego słońca niewiele się zmieniło, niemal ten sam widok Cayuga zapamiętał sprzed śmierci. Gdy się obejrzał, dojrzał powyżej w stromym stoku góry – wcale nie wyglądała jak góra – ów otwór, łono koszmaru, ciemną dziurę, z której wyłonili się byli na obcy świat. Chata stała o sto kroków od niej. Była większa, niż myślał, posiadała inne pomieszczenia z osobnym wejściem. Za nią, częściowo przesłonięty, stał mały, niski, koślawo przysadzisty, metalowy wóz.

Tropiciel wskazał wyciągniętym ramieniem półkę i dziurę w skale.

– Rankiem wejść. Pokaż mi potrzebne czary.

– Teraz jest ranek.

Podążający Za Cieniem spojrzał nań bezwyrazowo; nawet w śmiertelnym strachu czy w najwyższej ekstazie posiadał podobnie puste spojrzenie.

Anouki machnął w stronę horyzontu. – Słońce wschodzi nie z tej strony, co myślisz. Nie świeci w ten

sposób, do jakiego się przyzwyczaiłeś.

– Pójdę teraz.

– Chryste Panie, przecież ci mówiłem... Nie; chwilę, zaczekaj, zaraz wracam. – Przerwawszy w ten sposób samemu sobie, zawrócił na pięcie i zniknął w jednych z bocznych drzwi chaty. Tropiciele poświęcił tę chwilę na przyjrzenie się szybom: to nie były szyby. Nie chciał patrzeć na pogórze, granatową niepuszczę; przerażał go sam zapach wiatru.

Biały Diabeł wrócił z sakwą i bronią Podążającego Za Cieniem.

– Teraz ci to zwrócę, ale daj słowo, że mnie wysłuchasz.

Podążający Za Cieniem bez wahania skinął głową. Skrzyżowawszy nogi, usiadł na ziemi, na czarnym poroście – który przecież nie mógł być trawą – a obok złożył swoje rzeczy. Tomahawk i nóż miał na wyciągnięcie ręki. Był gotów wysłuchać olbrzyma. Dobrze jest wiedzieć o przeciwniku jak najwięcej.

Olbrzym ciężko siadł dwa kroki dalej, oparł się o ścianę chaty, jej cień ciął go krzywo przez brodę i pierś. Wyjął z kieszeni spodni i zapalił bryłką metalu papierową tulejkę z jakimś zielskiem w środku.

– Papieros – wyjaśnił. Wydmuchnął dym na wiatr. – Nie będę cię powstrzymywał przed powrotem, bo wiem, że ci się nie uda; proszę, próbuj. Poczekam na ciebie. Grota Marzeń stoi otworem dla każdego. Widzisz, to miejsce, z którego – jak ci się wydaje – pochodzisz; w którym dotąd żyłeś; świat, którego byłeś częścią... nie istnieje, nigdy nie istniał, nie ma go, to tylko ja go wymyśliłem, wyśniłem tam w grocie, bo potrzebowałem tropiciela, a ta cholerna dziura w górze ma moc przemieniania ludzi w demiurgów... na czas mroku. Wszedłem i wyprowadziłem cię z mego snu. Nie możesz do niego wrócić, tak jak nie możesz się ubrać we wspomnienie minionych dni. A sam jesteś wszak snem. Żyjesz, jeśli można to nazwać życiem, przez moje wyobrażenie o idealnym tropicielu. Wytropisz dla mnie pewnego... pewną istotę. Nie oczekuję od ciebie, że wiele z tego zrozumiesz; w każdym razie jesteś poinformowany, wiesz już... Tak...?

– Kim ty jesteś, Anouki Spieglass?

Biały Diabeł zaśmiał się z wysiłkiem; znów zaciągnął się papierosem. Spoglądał gdzieś w bok, w otwartą nieskończoność koszmaru, gdzie Cayuga bał się spoglądać.

– Człowiekiem. Prawdziwym. Z prawdziwego świata. Urodzonym setki lat po czasie, z którego cię wymyśliłem. Mam żonę, mam dzieci. Teraz wszyscy jesteśmy banitami. Wszyscyśmy tu obcy; ty podwójnie – mówił coraz ciszej. – Zginiemy tu, umrzemy pod cudzym słońcem. Jak ryby wyrzucone na brzeg... Kim ja jestem, kim jestem? Uczono mnie jak przemieniać kamień w powietrze, deszcz w metal... nazwałbyś mnie czarownikiem, Luis, Podążający Za Cieniem... ale teraz, bez moich przyrządów magicznych, szamańskich ingrediencji... Już Charlie jest bardziej przydatny. Charlie-bimbrownik poradzi sobie – mamrotał tak do siebie, zgarbiony, zagapiony pomiędzy stopy; trzęsła mu się dłoń, w której trzymał piopielejącego doszczętnie papierosa. – I co z tego, że potrafię obliczyć co do grama masę księżyców? Dla wnuków moich wnuków to będą jabłka na niebie, czy coś podobnego... Jeśli wyrosną w tej glebie jabłonie. W końcu wszystkich nas pogrzebią Trupy. Jezu Chryste, już jesteśmy pogrzebani...!

I rozszlochał się sucho.

## Potwór

Tańczył wokół jego nóg. Lizał mu dłonie. Bezgłośnie; nie skamlał, nie warczał, nie szczekał – w ogóle nie pozostawiał za sobą dźwięków. Był jak żywy obraz strachu w wilczo-psiej postaci. A w Podążającym Za Cieniem miał swego pana.

Zeszli ze stoku jak dwa duchy. Obce niebo lśniło nad nimi tajemnymi układami gwiazd, bladezielone księżycy przyciągały wzrok nieprawdopodobnością swego istnienia. Obcy smak nocy. Obca lekkość

kroku. Obcy poszum szeptu wielkich przestrzeni. A ja jestem snem. Potworze, w rzeczywistości dotyku twojej sierści zaklęty jest sens mej egzystencji.

Potwór wyczuł i wystawił Białego Diabła na dwadzieścia kroków przed chatą; Podążający Za Cieniem nie widział go, olbrzym leżał rozciągnięty na ziemi za pudełkowatym, metalowym wozem wspartym na czterech miękkich kołach i z wstawionymi dwoma krzesłami. Na wozie, przed tymi krzesłami, stało kilka blaszanych walców i butelek – błyszczały w świetle księżyców.

Cayuga pochylił się nad białym i powąchał jego oddech; powąchał puste walce i butelki. Potem zdjął z pleców sakwę i łuk i usiadł przy głazie, tak, że jeden z jego cieni padał na zarośniętą twarz Anoukiego. Anouki był nagi, jeśli nie liczyć krótkonogawicowych spodni.

Tropiciel wyjął z mieszka Ziele Spokoju i zaczął je żuć. Potwór rozplynał się w zawieszinie nocy.

Ocknął się Biały Diabeł, gdy pierwszy księżyc zaszedł, a czwarty dogonił trzeci. Zaczęło się to jego przebudzenie od niezrozumiałego mamrotania, podczas którego drapał się po szyi. W ogóle – długo i ciężko się budził. Po prawdzie otrzeźwiał jako tako, dopiero ujrawszy Podążającego Za Cieniem: usiadł sztywno, przetarł oczy, zagapił się nań.

– Anouki Spieglass – rzekł szaman – wyrządziłeś mi wielką krzywdę.

– Each... Luis... szybko wróciłeś.

– niesprawiedliwość. niesprawiedliwość. Nie miałeś takiego prawa.

Olbrzym w końcu zorientował się w sytuacji.

Czknął. – Więc przekonałeś się... nie ma wyjścia, nie ma powrotu do domu. Tu jest twoje miejsce... twoje przeznaczenie.

Podążający Za Cieniem wstał. Ruchem głowy odrzucił włosy na plecy. Podeszedł i pochylił się nad Białym Diabłem; amulety i naszyjniki z kłów i pazurów drapieźników kołysały mu się na piersi. W prawej ręce trzymał nóż, długi i szeroki, wykonany z ciemnej, chropowatej stali, na krzywych brzeszczotów zimnobłystnej od księżyców; ręką lewą, o trójpalczej dłoni, sięgnął po Diabła. – Mój.

Anouki w ślepej panice miotnął się w tył; kopał piętami w ziemię, która wyslizgiwała mu się spod nóg. Szaman nakrywał go swoim cieniem.

– Luis... Podążający... ty nie możesz...

– Mój.

Wierzgnął i kopnął w Cayugę; Indianin obrócił się szybciej, niż pomyślał, i cios przeszedł bokiem. Spieglass przeturlał się, chwiejnie wstał i pognał ku chacie, nisko przygięty do ziemi, pozbawiony wyczucia równowagi. Tropiciel nie pobiegł za nim. Krzyknął w noc. Noc krzyknęła Potworem. Wrzasnął i Biały Diabeł. Przewrócił się w tył. Potwór szczyrzył nad nim oślinione, żółte kły.

Szaman podeszedł, rzucił Anoukiego na wznak i klęknął mu na piersi. Nóż na gardło, ostrze pod grdykę.

Olbrzym dyszał przerażeniem. – Co... co to...

– Miałem kiedyś przyjaciela, wilczego mieszańca – rozspominał się, cokolwiek nieprzytomnie, Indianin. – Przemierzał ze mną góry, lasy i równiny, tropił dla mnie i walczył. Nie mogę wrócić do twojego snu. Mój sen może wrócić do mnie.

– Ty sam przecież...

– Wszedłem. Mrok. Marzyłem o przeszłości; zasnąłem i śniłem o niej. Grota spełniła moje życzenie.

– To niemożliwe.

– Nie mam tak zimnego serca, by uczynić to człowiekowi. Dopelniałem czarów. Grota zwróciła mi zmarłego przyjaciela.

– To niemożliwe.

– Teraz cię zabiję.

Nóż.

– Nienienie-nie możesz tego zrobić, nie, nie...! Sam umrzesz, znikniesz... jesteś moim snem, moim wymysłem, kto cię będzie śnił, gdy mnie zabijesz? Zaczyniesz się rozpląwać... Nienienie!! Nie rób tego! Na miłość boską...! ...po prostu przestaniesz istnieć.

Podążający Za Cieniem zamarł, podniósł wzrok, spojrzął gdzieś poza ciemność. Stracone, stracone, stracone wszystko. Wodo Niezmacona, Czarna Ręko; żony moje – nigdy nie usłyszę waszych głosów, nie dotknę waszej skóry, nie poczuję ciepła waszych oddechów i ciał, nigdy was nie zobaczę. Synowie moi; dzieci moje. Nie ujrzę jak dorastacie, nie przekażę wam pamięci, doświadczeń i myśli przeżytych lat, nie przekażę wam siebie. Siostró, zawsze smutna siostró moja, która nie wiesz, kiedy zamilknąć i nie mówić całej prawdy. Nocy Bezksiężycowa, bracie mój; ty jeden rozumiałeś i dzieliliś ze mną radość tropienia. Osoby, miejsca. Nigdy nie istnieliście. Utraciłem was, by się narodzić. Nie należy wywyższać się ponad siebie. Są bogowie; są bogowie; są bogowie. *Manitou...!*

– Niecee!!

– Tak to się dzieje, gdy źli chodzą pomiędzy dobrymi, nieprawi pomiędzy prawymi, a nie sposób odróżnić jednych od drugich. Nie mogę cię zabić, choć powinienem. W mojej jednak jest mocy naznaczyć cię dla przestrogi.

– Ty czerwony dzikusie... krwawy potworze...

– Dla własnej chęci zniszczyłeś świat.

– Skurwysynu... to przecież ja go stworzyłem – i ciebie...

– A kto dał ci prawo?

– A kto daje prawo rodzicom? Czy mordują ich potem dzieci za to, że przyszły na... Niecee!!!

Nakreślił ostrzem noża kolistą linię wokół czaszki; nóż zgrzytał po kości, pozostawiając za sobą strumyki koralowych wybroczyn. Potem wślizgnął klingę pod skórę; przesunął w prawo, w lewo. Białemu krew zalewała oczy. Krzyczał do bólu płuc. Podążający Za Cieniem owinał jasne włosy olbrzyma wokół trójpalczej dłoni, pociągnął nożem po raz ostatni – i szarpnął. Skóra odeszła z głośnym młaśnięciem. Anouki usłyszał ten dźwięk i zemdlął.

Huknęło, kula świsnęła Cayudze ponad głową i rozgrzechotała się blacha i szkło na metalowym wozie.

– Następna między oczy! – wrzasnął Charlie.

Stał nagi w drzwiach jednej z przybudówek chaty i mierzył do tropiciela z czegoś, co w mroku nocy wyglądało jak mała strzelba.

– Puść go! Wstań powoli!

Podążający Za Cieniem wstał, wyprostował się. W jednej ręce ociekał mu krwią skalp, w drugiej nóż.

Charlie zatoczył się na ten widok. – Jezu Chryste... Coś ty... Ty...

Góry zagrzmiały, jakby lawina po nich zesła. Zerwał się wiatr. Zaszumiała odległa niepuszcza. Coś przeleciało po ciemnym niebie, na mgnienie oka przesłaniając seledynowe lico największego księżyca.

Charlie postąpił krok w tył – i wtedy Podążający Za Cieniem pojął, że zaraz strzeli on bez ostrzeżenia po raz drugi: między oczy. Padł na ziemię. Wypaliła strzelba, eksplodując Charliemu w twarz i zabijając go na miejscu. Potwór wgrzył się w gardło trupa.

## Słowo: planeta

– Chcę, abyś miał tę świadomość: zastrzelę cię na samo podejrzenie podejrzenia.

– Byłbym ostrożny ze strzelbami.

– Od razu powinienem cię zabić – przekonywał się usilnie Anouki. – W ogóle nie stwarzać, nie wymyślać.

– To prawda.

– Skąd we mnie to okrucieństwo? ...tropicielem, nie oprawcą miałeś być – co ja wtedy śniłem...?

– Zemstę.

Biały Diabeł spojrzał nań dziwnie. Obandażował był sobie głowę powyżej czoła cienkim, samoprzylepnym materiałem, na to naciągnął miękką, grubą ciemną czapkę i teraz każde łypnięcie spod tej chorobliwej bulwy groźnym i złowrogim się zdawało.

Wóz jęczał, warczał, trzeszczał, huczał i zgrzytał. Samochód. Auto. Jeep. Maszyna. Jechał nie pchany i nie ciągnięty. Trząsał się przy tym i podskakiwał na wybojach, aż mu coś we wnętrzu grzechotało. Jechał powoli; Podążający Za Cieniem zrezygnował z zajęcia krzesła obok olbrzyma i biegł spokojnie z lewej strony maszyny; po prawdzie, Anouki nie bardzo go zachęcał do przełamania lęku, aż tak blisko siebie nie chciał mieć Cayugi.

Szaman biegłby i mimo to. W samej rzeczy – to było jak sen. Ta lekkość... Każdy krok niósł go znacznie dalej, niż powinien; cudowna moc napłynęła do jego mięśni, nabył oto zwierzęcej siły i swobody w ruchach – jakby ktoś odciął mu od kończyn ciągnące je dotąd w dół kamienie. I nawet nie zmieniał tego euforycznego odczucia smak powietrza lukanego teraz haustami, po wkroczeniu do niepuszczy tym bardziej obcy; kojarzył go luźno ze spaloną sierścią, zepsutym tłuszczem, trującymi wyziewami bagien, gorącą, starą skórą.

Niewiele zwracał uwagi na Anoukiego Spieglassa; odpowiadał mu, aby go dodatkowo nie straszyc milczeniem. Tak naprawdę interesowały go niedrzewa. Fascynowała niemożliwość ich istnienia. To jakby zobaczyć oddychające kamienie. Płonącą wodę. Trzy księżyce. Zresztą widział trzy księżyce. Niedrzewa hipnotyzowały go granatem swej liścioskóry. Łagodne zafalowania wici... Gdzie pień, gdzie korzenie, gdzie gałęzie...? Zwierzęce, zwierzęce życie pulsuje w tych stworach.

A samych zwierząt – ani śladu. Na tej planecie fauna istnieje w formie szczątkowej, powiedział był mu Biały Diabeł. Planeta. Planeta. Tłumaczył potem długo co znaczy to słowo. Tłumacząc rzeczy – w jego mniemaniu – tak podstawowe, okazywał swą wyższość, podporządkowywał sobie Cayugę; zwiększał swoje poczucie bezpieczeństwa poprzez tę iluzję zależności. Podążający Za Cieniem naprawdę starał się uwierzyć. Planeta. Kula ziemi w nicości. Wielość planet. Wielość słońc. Wielość światów. Wielość bogów. Wielość wyobrażeń. Lecz czy miało to jakiegokolwiek praktyczne znaczenie? Anouki wyjaśniał: ciężenie... klimat... odległości... Żadnego; dokładnie żadnego. Tropiciel po prostu biegł, zapatrzony w cuda i dziwy, nie myśląc o przeszłości (żony moje...), nie myśląc o przyszłości (inna planeta), by nie oszaleć; by nie zwątpić.

Twardo stąpał w teraz.

W odróżnieniu od Białego Diabła, którego słabość widoczna była coraz wyraźniej. Bezbronny gigant. Łękliwy olbrzym. Rozpląkał się wtedy przed wejściem Cayugi do Groty Marzeń; szlochał nad zwłokami Charliego. Miękki, otwarty jak *squaw*. Podążający Za Cieniem wstydził się za niego. Cóż za ułomny stwórzyciel.

Jeep jechał krętym, błotnistym szlakiem, wykorzystującym naturalne – choć tak nienaturalne – ukształtowanie gruntu: kamieniste wyjąłowienia, jary, uskoki, długie prześwitwy śródbrzwe. Czasami migąła w oddali czerń skudłonego futra Potwora; Biały Diabeł nerwowo oblizywał wargi na ten widok.

Dotarli do bagnistej polany; jeep rzeził, Anouki walił w jego koło manewrowe i kłął, zagapiony w tył, w strugi wyrzucanego w powietrze błota – to Podążający Za Cieniem pierwszy ich spostrzegł. Stali na drugim końcu polany i właśnie się odwracali do źródła hałasu. Ich dwoje; i dwa zwierzęta; i zwłoki; i maszyna. Tropiciel już nałożył strzałę na cięciwę; Czarny Czarnooki wysunął szablę ze skrytej pod obszernym płaszczem pochwy, zaznaczającej się na jego pole równą fałdą załamania materiału.

– Nie! – krzyknął Biały Diabeł, gdy tylko podniósł wzrok i zorientował się w sytuacji.

Bezwłosa kobieta w spodniach odgięła skrzydło swego kapelusza ręką, w której trzymała zapalonego papierosa.

– To Anouki. – powiedziała na tyle głośno, że usłyszeli ją przez polanę.

– A tamto dziwo? – spytał Czarny Czarnooki, wskazując Podążającego Za Cieniem jasną stałą szablą o prostej, dwusiecznej kłindze.

Takoz i szaman nie był w stanie oderwać od obcego wzroku. Czarna skóra! Może nie czarna, lecz na pewno ciemniejsza od najciemniejszej, jaką w życiu widział. I okulary – wiedział, że to okulary – ale te były jakieś dziwne, przyplaszczone do twarzy i o szklach tak mrocznych, że aż zwierciadlanych. Dłonie, wielkie niczym łapy niedźwiedzia, obciążone miał czarnoskóry rękawiczkami. Wysokie jego buty i poły płaszcz zbrunatniały, wielowarstwowo ubłocone ziemną mazią. Przy kobiecie niższej o głowę, nieporównywalnie szczuplejszej, a odzianej w obcisłą koszulkę podobną do Spieglassowej, zdawał się Czarnooki prawdziwą górą wzruszoną jakimś żywiołem bagna; i olbrzym już nie był teraz olbrzymi.

Ptasionogie stwory o błoniastych, wielokrotnie złożonych skrzydłach, przyciśniętych do długich, węzowych tułowi, skierowały swe liczne szyje – a może ogony? – w stronę zbliżającego się jeepa. Jeśli te giętkie wije zakończone były głowami, to Cayuga ich nie widział; nie dostrzegał tam żadnego zgrubienia, żadnych oczu, żadnych otworów. Łuskoskóra tych zwierząt posiadała kolor tutejszego błota i tropiciel zrozumiał, iż w bezruchu i z pewnego oddalenia właściwie nie sposób ich dostrzec, choć wszak wyższe były i od człowieka-góry. Nie wydawały najłżejszego dźwięku. Stały i kołysały szyjami/ogonami.

Samochód podjechał do kobiety i mężczyzny i zatrzymał się; ucichł warkot, Anouki wysiadł. Podążający Za Cieniem, z opuszczonym łukiem i wolną cięciwą, obchodził grupę z lewa, z dala od skrzydlatych stworów. Zmieniał się kąt, pod jakim na nie patrzył – widział: na grzbietach miały przymocowane głębokie siodła.

Zacieśnił krzywą obejścia i zwolnił kroku; chciał usłyszeć o czym tamci rozmawiają. Wciąż nie mógł się pozbyć uczucia, iż w istocie jest ofiarą jakiegoś gigantycznego oszustwa, metafizycznej mistyfikacji. Planeta? Jaka planeta? To tylko słowo. Karkołomna konstrukcja myślowa.

– Matthew Lee – przedstawiła Czarnego kobieta.

Anouki spojrzła na nagą szablę.

Czarny zaśmiał się i sprawnie schował ją do pochwy, pod płaszcz. – Jestem astronomem. To znaczy byłem. Skorzystałem po prostu z zapobiegliwości DeWonte'a – klepnął ręką. – Oni tam w „Arce” setkami tkają w transmutatorach miecze, siekiery, kosy; tonami zrzucają nam tu przeróżne żelastwo.

– Lepianki Fitzpatricka...

– To ekstremista.

– Histeryk – dodała kobieta.

– Aż tak źle?

– Twój samochód... zdziwię się, jak dociągnie do Piszczeli.

– Proces postępuje, a?

– Oceniałbym to w skali mikro. Do pewnego progu. Procesory, na przykład, martwe całkowicie. Radio lampowe – jednorazowego użytku. A rewolwery... zaiste, rosyjska ruletka. O ile wiem osiem, dziewięć strzałów wytrzymują; no, jeszcze są przypadki wyjątkowe...

– Charliego zabił jego własny *stroeppe*, dwudziestka dwójka.

– Charlie nie żyje? – zdziwiła się.

– O, widzisz, masz dobry przykład – kontynuował Czarny. – Odwrotnie proporcjonalnie do stopnia złożoności, z uwzględnieniem narzutu losowego. Wiesz co jest bardzo popularne? Wiatrówki, broń pneumatyczna. I kusze samopowtarzalne. Co on robi?

Podążający Za Cieniem kuczał nad trupem leżącym na metalowej, dwukołowej maszynie. Wąchał jego dłoń.

– Anouki? – kobieta dotknęła ramienia Białego Diabła. – Kto to w ogóle jest?

– Sen. Wracam z Groty.

- Przecież widzę, że sen. Indianin.
- Tak. Tropiciel. Znajdzie mi Saint-Pierce'a.
- Anouki! On ma twoje włosy!

Czarnooki zachłysnął się; spojrział na Podążającego Za Cieniem, na zbulwiałą głowę Spieglassa i z powrotem na szamana, na blond skalp u jego pasa. – Chryste Panie...!!

Biały Diabeł był wyraźnie zmieszany. Nie wiedział co powiedzieć. Pocierał nerwowo wnętrza dłoni.

- Kogoś ty wyśnił...? – szepnęła kobieta.

Biały Diabeł patrzył gdzieś w bok. – Cóż...

Gdyby był do tego zdolny, Podążający Za Cieniem poczułby się zażenowany w imieniu swego stwórcy. Coraz niższe i niższe miał o nim mniemanie. Trafił mu się zarozumiały tchórz na boga.

Kobieta zaciągnęła się papierosem. – Lee – tchnęła – zabij to.

- Ojalika – jęknął malejący olbrzym – ja cię proszę...

Nie zwracała nań uwagi. – Lee! Zlikwiduj tę zmore! A Groty... Groty trzeba będzie zasypać. Tylko ucieleśnionych id nam tu brakuje. Lee, głuchy jesteś?

Czarny Czarnooki tylko stał i patrzył na szamana.

- On rozumie co mówimy – rzekł naraz.

Ojalika szarpnęła głową. – Co?

– Tak, tak – pospieszył z wyjaśnieniem Anouki. – Specjalnie wybrałem takiego. To mieszaniec z terenu Kanady. Naprawdę, on mi jest potrzebny...

Spomiędzy drzew po lewej wyskoczył Potwór. Spojrzeli nań w panicznym odruchu. A pierwsza oderwała wzrok od zwierzęcia Ojalika, jakoś wyczuła ruch Podążającego Za Cieniem. Wskazała go papierosem: z odległości dziesięciu-dwunastu kroków mierzył do nich z tego swojego ogromnego łuku, którego cięciwę napiął był aż poza obojczyk; stalowy grot strzały celował w serce Czarnookiego.

Czarnooki tylko się uśmiechnął. Zacisnął w pięści urękawiczone dłonie.

Biały Diabeł zadyszał się w strachu; wszystko mu się waliło, obracało w rzeczy odwrotne zamierzonym.

- Luis! – krzyknął błagalnie. – Nie rób tego!

Jego skalp powiewa u mojego pasa, pomyślał tropiciel, a on mnie błaga. W duchu splunął swemu stwórcyelowi w twarz.

- Nie zdążysz nas wszystkich zabić – stwierdziła Ojalika.

– Zabiję Czarnego – odezwał się. – Anouki Spieglass się nie poruszy, a tobie, bezczelna kobieto, roztrzaskam czaszkę.

Ojalika przekrzywiła lekko głowę, zmrużyła oczy.

- Dlaczego? Boisz się o własne życie? Okay, rezygnuję z zamiaru likwidacji snów.

- Nie wierzę ci. Masz mord na twarzy.

Spojrzała w dół, na dopalający się papieros.

– Mam mord na twarzy. Cóż. Można to i tak określić. To ja jestem odpowiedzialna za wszystkich ludzi na tej planecie, Luis – tak masz na imię, prawda? To ja dowodzę w tym bagnie. Mogę spełnić wiele twych życzeń. Moja śmierć natomiast sprowadzi na ciebie jedynie zemstę; no, mam nadzieję, że ktoś będzie chciał mnie pomścić... – mówiąc, wykonała powoli i swobodnie szereg czynności: rzuciła niedopałek w błoto, jeszcze przydepnęła go, pomacała po kieszeniach ciemnych spodni i żółtej kamizelki, wyjęła jakiś czarny przedmiot i skrzętem nadgarstka skierowała go ku szamanowi. – Dobra, Luis, strzel albo wyceluj we mnie, to załatwię cię od razu. Wolno, wolno, wolno zluzuj cięciwę. Strzała. Odrzuć łuk. Taak.

Biały Diabeł zazezował w bok.

- Ojalika – zachrypiał – ta bestia stoi za tobą.

– To jego?

– Mój – rzekł Podążający Za Cieniem.

– No to mamy pata. – Przesunęła długopalcą dłonią po gładkim sklepieniu czaszki. – Ale ty od początku nie zamierzałeś strzelić, prawda?

– Teraz podejść do ciebie... – zaczął pospiesznie Czarny Czarnooki, próbując przejąć inicjatywę. Lecz szaman już zdecydował.

– Nie uczynię wam krzywdy, jeśli nie będę musiał – wyrecytował z kamienną twarzą.

Milczenie zapadłe po tym oświadczeniu trwało tak długo, że mimowolnie jęli się przysłuchiwać własnym oddechom.

Nareszcie ona:

– Okay, Lee. Skoro on nam wierzy.

Czarny obrócił się do niej i czym prędzej zmienił temat.

– Co ty tam masz?

Nie powinien zadawać tego pytania, nie mogła go zignorować; ale zachowała spokój. – Ach, to? Telefon, sam widzisz; oczywiście nie działa. Cóż, Luis, musiałam się ratować podstępem. – Schowała pudełko do kieszeni.

– W ciebie powinienem wycelować – rzekł tropiciel podnosząc łuk; przedmiot „telefon” jest niegroźny, zanotował sobie w myśli.

– Dziękuję. Lee, niniejszym wprowadzam zarządzenie zabraniające snom wstępu do Piszczeli. Przypomnij mi, żebyś przekazała DeWontę'owi, by zrzucił na wejścia do Grot trochę jakiegoś śmiecia bez osłon i spadochronów. Dobra, może w końcu zajmiemy się tym nieszczęśnikiem.

Podeszli na skraj wgłębienia, w którym spoczywała maszyna i zwłoki. Podążający Za Cieniem stał po drugiej jego stronie.

Czarny Czarnooki obejrzał się za siebie, ale Potwór już gdzieś zniknął. Mężczyzna parsknął zirytowany.

Anouki niepewnie zbliżył się do Podążającego Za Cieniem.

– Co ty wyprawiasz? – jął szeptać. – Zabijają cię. A ty mi musisz znaleźć Saint-Pierce'a. Jesteś tropicielem. Rozumiesz? Tropicielem. Siła twego istnienia leży w wyobrażeniu. Inaczej rozpuścisz się równie pewnie, jak po mojej śmierci: musisz wytropić Saint-Pierce'a.

Podążający Za Cieniem go ignorował. Dzielił swoją uwagę pomiędzy obserwację tajemnych ruchów szyi pary zwierząt błoniastoskrzydłych, a próby wychycenia poszczególnych słów z szybkiej konwersacji prowadzonej przez Ojalikę i Czarnookiego nad zwłokami nagiego mężczyzny oraz zimną i cichą maszyną dwukołową.

– ...wszystkie Trupy...

– ...nie wiem, nie wiem; może ten klan...

– ...szaleć z Harleyem po wykrotach...

– ...jeśli wejdziemy w sojusz...

– ...znaki totemiczne...

– ...cały burdel na tej planecie...

– Chodź – Biały Diabeł pociągnął Cayugę ku jeepowi. – Chodź, musimy zdążyć przed zmrokiem; nocą w lesie...

Tropiciel wskazał łukiem zwłoki. – Kto zabił?

– Trupy.

– Trupy?

– Autochtoni. Tubylcy. Tutejsza rasa. Chodź, chodź.

– Nie rób tego więcej.

– Co...? Czego?

– Nie dotykaj mnie.

Anouki siedział już w samochodzie, a Podążający Za Cieniem zagłębiał się pomiędzy niedrzewia, gdy rozległ się krzyk Ojaliki.

– On nie może wejść do Piszczeli! Słyszysz, Anouki? Zabraniam! Nie zatruwaj mi tej planety jeszcze swoimi kompleksami!

Podążający Za Cieniem potrząsnął głową. Planeta. Niemożliwe. Wszystko kłamstwo.

## Patrz

A zatem dlatego nazywają je Piszczelami. Cóż tak przeżłobiło te skały – woda? wiatr? Sterczą krzywymi żebrami z nagiego bagna na setki metrów; długie, wąskie, strzępiaste. Koloru mokrego popiołu. Wąwozy pomiędzy nimi, śmiertelnie cieniste, złowróżbnie głębokie, przykryte są płataniną mostów wiszących i stałych. Samych szczytów Piszczeli nie dojrzysz z tak bliska. A to na nich mieści się fort. Widziałem lśniące maszynoptaki spływające doń z chmur. Widziałem aureole złotych zorzy ponad krawędziami skalnych żeber, jak powidoki zachodzącego słońca. Niebosiężne wysokości... Jak oni tam wchodzą? Wlatują – wlatują na tych błoniastoskrzydłych zwierzętach; tnie właśnie nieboskłon ich nieregularny klucz. Tu wszystko odwrócone; słowo znaczy rzecz przeciwną; czarne jest białe; mężczyźni jak kobiety, kobiety jak mężczyźni. Mgła unosi się nad ziemią, mgli się odkąd wyszliśmy z niepuszczy; tak, tak, tak dobrze. Mgielne, chwilowe istnienia. Nie mogę na niego spojrzeć, bym nie pomyślał: to mój stwórca. Ale i on nie może spojrzeć na mnie i nie zobaczyć swego skalpu, i nie przestraszyć się; tak jest sprawiedliwie. I dlatego nie patrzy, omija wzrokiem. Przygotowuje się właśnie do zejścia z płaskowyzu na równinę, do Piszczeli; rozładowuje unieruchomiony jeep. Maszyna zdechła mu w połowie stoku. Stoi niebezpiecznie przechylona na lewą stronę. Obracam nad ogniskiem upolowanego podczas marszu skoczek pajączego; zapach jego palonego tłuszczu jest przyjemniejszy, niż można się było spodziewać po wyglądzie zwierzęcia. Jeśli to zwierzę. Przynajmniej dym jest zwiewny i ulotny, ponieważ taki być powinien. Słońce zapada na wschodzie. Monumentalne, kamienne ostrza Piszczeli wyciągają swe cieniste szpony po brudnej gładzi równiny. Ktoś rzucił się z wiszącego mostu w międzyżebrową czeluść – i pożarł go w locie mrok. Nadciąga noc.

## Słuchaj

– Wysłuchaj mnie, Luis. Podążający Za Cieniem, mój tropicielu. – Trawi go jakaś gorączka, ogień sekretnej żądz; mówi jak zamroczony, jakby rzeczywiście do swego snu i we śnie inwokował. – Ty jeden nie możesz mnie zdradzić, nie możesz opuścić. Ty mi go odnajdziesz, dzięki tobie poniesie karę. To zły człowiek; to nawet nie człowiek. To wampir; drapieżne monstrum, wybryk natury. Wampir. Nie wiesz? Krew wysysa. Wbijają zęby, o, i wysysa. – Przekrzywiając nieludzko głowę i naprężając szyję, pokazał, jak. – Nieśmiertelny. Olivier Saint-Pierce; za niego się podawał gdy go pochwycono. Należało go od razu zlikwidować. Ale żywy wampir... taki fenomenalny metabolizm – miałby się zmarnować? Wykorzystali, a jakże. Dwustuletni lot „Arki”, dwustuletni nasz sen – nieśmiertelny to wszak wymarzony pilot-nadzorca; poza tym w ten sposób na zawsze się go pozbywali nie mordując. Humanisci, myślałby kto... I oto gdzie trafiliśmy! Mimo zabezpieczeń, mimo tych niezliczonych sztucznych nibyinteligencji. Liczyli na jego instynkt samozachowawczy. Ale on nawet nie myśli jak człowiek! Specjalnie, specjalnie uszkodził statek, specjalnie sprowadził nas na to cmentarzysko. Bagno. Nasz statek, „Arka”... Łódź śródgwiezdna, żeglujemy po niebie. Nie, ty nic nie rozumiesz. Gwiazdy to wyspy w oceanie mrocznej pustki; okręt nasz... zobaczyłbyś go, ale zaszedł za dnia. Przemierzaliśmy mrok z szybkością myśli przez czas tak długi, iż musiano nas pogrążyć w sztucznym śnie, abyśmy nie pomarli w drodze. Jedynie on,



– Był nagi.  
– Włosy?  
– Zero.  
– Znaki szczególne?  
– Teraz tak.  
– Jak to było, przez lewy policzek?  
– Aha. Takim, o, kamieniem. Zresztą nawet nie widziałem czym walę. Ale dostał. Poczułem. Miętko weszło. Kość policzkowa, bok twarzy. Tak jakoś.  
– Uważaj sobie!  
– *Sorry*.  
– Luis, nie słuchasz?  
– Kto to?  
– Sen; mów dalej.  
– Niby co? Wrzasnął, uciekł, tyle go widziałem.  
– Powiedział coś?  
– No co ty, wylatuje goły z krzaków, i z zębami na człowieka; to według ciebie jak rozbudowane konwersacje można z gościem prowadzić? Ile to wszystkiego było, pięć sekund? Skacze, szarpanina, upadamy, kamień, wrzeszczy i ucieka. Koniec. Akurat najdłużej to się przypatrzyłem jego dupie, jak sadził między drzewa. Zresztą zaraz się rozmył; tu nocą, choć oko wykol...

– Dobra, dobra. Luis! Luis! Nie chcesz go o coś zapytać?

Podążający Za Cieniem podniósł się znad domniemanych śladów stóp Zjadacza Krwi, które pieścił był koniuszkami palców swej okaleczonej dłoni, po czym obrócił się do Białego Diabła i Poparzonego. Od kilku dni nie nosił swej kurty – nazbyt nasiąkała tutejszym dżdżem – pozostawiając ją w sakwie przy siodle daka, i teraz widok straszliwej płataniny blizn i prymitywnego, krwawego tatuażu, pokrywającej pierś szamana, a niczym nie przesłoniętej, jeśli nie liczyć naszyjników z kłów i szponów nieistniejących, prześnionych zwierząt oraz paru amuletów i talizmanów – widok ten uderzył w Poparzonego niczym słowa śmiertelnej obrazy. Zbladł. Sięgnął ręką gdzieś w powietrze, zaraz cofnął ją. Spojrzał na Anoukiego, ale ten miał już doświadczenie i wiedział kiedy patrzeć w bok. Poparzony wrócił zatem wzrokiem do Podążającego Za Cieniem; za drugim razem zobaczył więcej: skalp, tomahawk, wielki nóż, skołtunione włosy z niepokojącymi skrzepami czerwieni, świeże szramy na czole, całkowicie obcą w swym wyrazie twarz, złe oczy. Dzikość w każdym geście. Najpierw trwa przez długie minuty w nieludzkim bezruchu, aż nagle rozbucha się zamasyście.

W tym jarze, zalesionej wklęsłości gruntu o łagodnych zboczach, jak odcisku stopy giganta (ślady, ślady; rzecze tropiciel: każda rzecz jest śladem innej) panował półmrok głębszy i cięższy, aniżeli w lasach prześnionych. Wszystkie gesty, drobne poruszenia – okazywały się tu wielocieniste, pozostawiały za sobą ciemne echa niedowidzeń. W cieniu można zobaczyć więcej, niż istnieje w rzeczywistości: w cieniu jest wszystko o czym pomyślisz, czego pragniesz, czego się boisz.

Kiedy szaman postąpił ku niemu pierwszy krok, Poparzony uskoczył za swego daka i sięgnął niewprawnie po bułat.

– Anouki!

Biały Diabeł zaśmiał się sztucznie, poprawiając czarny materiał czapki na oskalpowanej czaszce.

– Spokojnie, przecież nic ci nie zrobi.

Tylko ich trzech; i trzy daki. Wokoło niepuszcza. Strach Poparzonego nie był sierotą.

– Opowiedz mi o jego strachu – rzekł Podążający Za Cieniem. – On był przerażony, prawda? Bał się bardziej od ciebie. Tak?

– Może – sapnął Poparzony. – Tak mi się wydaje.

– Widziałeś jego zęby? Widziałeś czy ma kły?

Poparzonemu wszystko to coraz mniej się podobało. Zgadząc się wskazać miejsce incydentu nie wiedział o szamanie; przyłączył się on do nich dopiero w powietrzu. Teraz Poparzony marzył już tylko, by wsiąść na daka i odlecieć. Nie był żadnym tam awanturnikiem: był profesorem informatyki.

– Nie, nie, nic nie widziałem. Słuchajcie, ja już muszę się zmywać.

Wskoczył na daka, oglądając się nerwowo za siebie, na Indianina.

Indianin podszedł do swojego wierzchowca, odpiął od siodła łączysko, kołczan. Poparzony przeraził się. Gwizdnął. Szyje jego daka przygięły się do ziemi, rozłożyły nieprawdopodobnie szeroko półprzezroczyste jego skrzydła – zwierzę zaczęło biec; wypatrzywszy jakoś prześwit śródleśny skoczyło, rozłopotowało się i mozolnie i ciężko wzbilo ponad niepuszczę.

Podążający Za Cieniem przerzucił sobie kołczan przez plecy, ugiął próbnie łączysko. – Pobiegnę.

– To on?

– Nie wiem.

– Ale jak myślisz? Powiedz. On?

– Nie wiem.

– Mógł wyłysieć. Mógł sobie sam skórę na głowie wydepilować.

– Zobaczę. Leć za mną, sprawdzaj wieczorami: dwa ogniska obok siebie, trzecie wskazujące kierunek. Spirala leć.

– Nie zabij go. Poczekaj na mnie. Ja... ja chcę...

Ale Podążający Za Cieniem już biegł. Od razu wszedł w rytm podróżny. Jar, daki i Biały Diabeł zniknęli za jego plecami po kilkunastu oddechach. Świat przesłoniły mu niedrzewa.

Wkrótce bez reszty zapamiętał się w biegu. Rytm był wszystkim. Wciąż czuł się bezprawnie lekkim; biegło mu się zaiste zwierzęco. Po tropie zwierzyny. Nie zadeptywał go, biegł obok. Rzadko bywał zmuszony przystanąć, zastanowić się – miękka, odkształcająca się ziemia Bagna stanowiła wymarzone podłoże dla tropiciela. Poparzony został napadnięty wczorajszym popołudniem, strata wynosiła trzy czwarte bagiennego dnia, czyli więcej jak jeden dzień prześniony.

Po prawdzie mocno wątpił czy to rzeczywiście Zjadacz Krwi. Już go sobie w myśli odegrał rytuałem Prośby Myśliwego z tych wszystkich pokutniczych opowieści Białego Diabła, jakich musiał wysłuchiwać na każdym postoju; i ów Zjadacz Krwi z myśli szamana utoczony nie wyskoczyłby tak z krzaków na ofiarę w panicznym ataku – i nie uciekłby. Któż to zatem był? I czy faktycznie krwi pragnął?

Biegł. Tropił. Lekko mu się biegło. Dobrze mu się tropiło. Szczęśliwym czuć się powinien.

...Biegł. O zmierzchu musiał się zatrzymać, po ciemnej nocy śródleśnej tropić nie sposób. Zapalił przyrzucone ogniska, zasnął. Biały Diabeł nie pojawił się.

Rankiem zjadł trochę suszu, który kupił mu on w Piszczelach, napił się wody ze strumienia – smakowała śmiercią – pomodlił – i pobiegł dalej. Koło południa odnalazł go Potwór. Biegli razem.

...Coraz bliżej. Tamten kluczył bez celu, często się zatrzymywał. Na trzy dłonie przed zachodem Podążający Za Cieniem natrafił na jego odchody, jeszcze ciepłe. Założył cięciwę na łuk, poprawił kołczan.

Niedługo potem zwierzyna wyprowadziła ich z niepuszczy na czarną od gęstego porostu równinę, daleko, niemal na horyzoncie, przecinaną szeroką żyłą rzeki koloru chorobliwej żółci; tego się Cayuga nie spodziewał: wyjście na teren odkryty to lekkomyślny manewr ze strony kogoś, kto ma powody podejrzewać pościg. Czyżby Zjadacz Krwi był aż tak głupi? Istota, która żyje setki i tysiące lat? Niemożliwe.

...Zobaczył ją. Siedziała na kamienistym pagórku, patrzyła ku rzece. Dwadzieścia strzałów z łuku, jeśli nie dalej. Potwór pognał odciąć drogę jej ucieczki z drugiej strony. Podążający Za Cieniem skierował się zaś prosto naprzeciw wiatrowi.

Teraz już nie miał nawet jak się kryć: pędził ku Nagiemu chcąc jak najbardziej się zbliżyć, póki patrzy

on w innym kierunku. Zresztą i tak już mu nie ucieknie. Nie może. Został upolowany.

Zmierzchało i równina wyglądała jak o prześnionej jutrzence. Po brudnym niebie rozsmagały się strzępy niechmur. Coś wyło w straszliwej dali.

Podążający Za Cieniem otworzył szeroko usta, by zbezdźwięczyć oddech. Porosty łaskawie amortyzowały i wytłumiały jego stąpania. Widział już smugi zaschniętego błota na umięśnionych plecach Nagiego.

Coś go ostrzegło. Co? Przychylni bogowie, szept ruchu niewyciszony, instynkt. Obejrzał się. Szczęka mu opadła ze śmiertelnego zdumienia.

Wtedy szaman, w pełnym pędzie, sięgając już po strzały – ułożył sobie z twarzy przerażającą maskę wściekłości, dzikości i grozy i wydał ścinający strach w myśli okrzyk wojenny Cayugi. Dzięki temu Nagi pozostał w bezwolnym bezruchu te pięć susów dłużej. Potem jednak poderwał się, skoczył w dół i pobiegł ku rzece.

Podążający Za Cieniem, stanąwszy na opuszczonym szczycie pagórka, wstrzymał oddech i wypuścił za Nagim, jedną po drugiej, trzy strzały; strzelał w nogi, grotów nie zatrzał, nie chciał zabijać. Pierwsza nie trafiła, druga przebiła udo, trzecia przecięła skórę na biodrze Nagiego. Tropiciel odetchnął i zszedł z pagórka. Obawiał się był o celność, wciąż nie przyzwyczyił się do wszechlekkości Bagna. Ale dobrze poszło. Nagi leżał dziwnie skręcony na prawym boku, wystawiając na światło zachodzącego (wschodzącego) słońca zmasakrowaną połowę twarzy. Krzyczał z bólu i w irracjonalnym geście obydwoma rękami ścisnął brzechwę. Interwencja Potwora okazała się nie potrzebna.

Podążający Za Cieniem podszedł do zwierzyny, sprawdził czy upływ jej krwi nie jest śmiertelny – nie był – po czym ogłuszył ją szybkim, krótkim ciosem tomahawka.

## Teraz powiesz mi wszystko

– Teraz powiesz mi wszystko, by uniknąć bólu.

Związał go tak, że i w bezruchu pił cierpienie. Oddychał z wysiłkiem. Patrzył na Podążającego Za Cieniem załawionymi oczyma. Błyszczały od tych samych promieni seledynowych księżyców, które pełgały na kłindze szamańskiego noża. Cayuga pytał i ciął. I Nagi – gdy nie wrzeszczał opętańczo – mówił; mówił bez przerwy, słowo nakładało się na słowo, nie mógł przestać. A Podążający Za Cieniem go po prostu nie rozumiał. Podążający Za Cieniem nie znał tego języka, nigdy wcześniej go nie słyszał. Początkowo traktował to jako wybieg, lecz po trzeciej utracie przytomności przez przesłuchiwanego – uwierzył. Zapalił ogniska; czekał. Potwór, podniecony zapachem świeżej krwi, krążył na granicy mroku. Nagi coś tam bełkotał po swojemu, zamknięty w bólu, nie docierały doń ciepłe, senne tony muzyki płynącej z fletu Indianina. Tropiciel grał. Na falach melodii myślało mu się łżej. Kim jest Nagi? Człowiekiem z naniebnej „Arki”? Czemuż zatem nie mówi po angielsku, oni wszyscy znają ten język. Czyżby był Trupem? Czy tak wyglądają Trupy? Poparzony by go przecież rozpoznał. Więc kto, kto to jest?

Grał.

Rozłopotala się noc, zaszumiało; coś wyciemniło wielkie fragmenty nieba. Wylądował Anouki z dakiem Cayugi. Tropiciel zgasił dwa odleglejsze ogniska. Kiedy wrócił, zastał Białego Diabła pochylonego nad Nagim.

– Coś ty mu zrobił?

– Przesłuchiwałem.

Olbrzym odwrócił blade oblicze, połknął powietrze wielkim haustem. – Niewiele widać powiedział.

Podążający Za Cieniem kopnął Nagiego w przestrzelone udo. Nagi rozszwargotał się na nowo. Szaman spojrzał pytająco na Spieglassa.

– Po jakimu to?

Skonsternowany Anouki wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam.

– To kto to jest? Nie wampir?

– Skąd!

– No to co z nim?

Biały Diabeł, rozżalony, machnął ręką. – Ja chciałem Saint-Pierce'a, nie jakiegoś dzikusa; cholera, przecież on gdzieś tu musi być, nie mógł przepłynąć morza...

Podążający Za Cieniem przekrzywił głowę, posmakował lekko kwaśną ciemność nocy. Po chwili klęknął. – Przepraszam – szepnął zwierzyńie i dobił ją jednym pociągnięciem noża.

Biały Diabeł zwymiotował.

Szaman spojrział nań z wyrzutem. – Nie należy bez potrzeby zadawać bólu. – Potem opuścił wzrok i zobaczył jak Nagi rozsnuwa się w rzadką mgłę zapomnianego snu.

## W powietrzu

Lecieli prześlizgując się po szczytach słupów wstępującego powietrza, skrzydła ich daków prawie się stykały; stanowili dla siebie nawzajem dwuwymiarowe figury mroku. Wiatr masował im twarze. Istnieje zapach i dźwięk wielkich przestrzeni, i oni czuli ten zapach, słyszeli ten dźwięk. Noc bardzo się rozrzedziła.

Czemuż o tym nie pomyślałem? – zapytywał się Podążający Za Cieniem. Czemuż nie przewidziałem, że i Zjadacz Krwi może wejść do Groty? Że wyśni własnych Nieistniejących? To było poniekąd oczywiste. Miał czas; miał mnóstwo czasu, dziesiątki lat. Zapewne rozsiał po planecie (planecie! – bogowie, wybaczcie mi) wielu podobnych fałszywych wampirów, którzy, zagubieni, włóczą się po tym świecie, nie rozumiejący, a głodni, głodni ludzkiej krwi – doskonale w ten sposób zacierając trop i uniemożliwiając wszelki zorganizowany pościg za prawdziwym Zjadaczem. Jest ich akurat tylu, by jednocześnie nie wpływać ujemnie na populację zwierzyny Zjadacza. I zapewne nie wszyscy są tak charakterystyczni. Kogo tropić? Za wiele ich; po przejściu stada ślad się zaciera, gmatwa, nakłada. Trzeba czekać niewątpliwej identyfikacji przez ofiarę – lecz jeśli zacznie/zaczną ją zabijać? Należałoby wówczas sprawdzać wszystkie zabite. Niemożliwe, niemożliwe. Te przestrzenie...

Czemuż o tym nie pomyślałem? – zapytywał się Anouki Spieglass. To jego królestwo, myśmy intruzami, dopiero co spadliśmy weń z nieba i po prawdzie niewiele rozumiemy, a on, wieczny, w swym nieskończonym sprycie, przez ów czas niepodzielnego panowania na pewno przygotował się na wszelkie okoliczności, zabezpieczył wielokrotnie. Ale przecież ja – muszę – muszę – muszę go dopaść! Jest jakiś sposób, ja to wiem! I cóż z tego, że Trupy go kryją; bogiem im zapewne, królem... Trupy! Spróbujmy od tej strony. Gdyby udało się je przekonać... Gdzież miało odbyć się to spotkanie? Co mówiła Ojalika – Dwurożnik? Lewy czy prawy dopływ? ...Niech Ojalika włączy do traktatu warunek wydania nam Saint-Pierce'a, niech zażąda...

Nowa gwiazda – jasny punkt – krótka kreska wyjarzyła się wtem ogniście w ciemnej dali. Czerwieniejąc, sunęła po ostrym łuku w dół. Huk dobiegł ich dopiero po jakimś czasie, gdy zniknęła już za cieniami gór; wybuchł nagle tępym, niskim grzmotem, który przetoczył się przez noc na powietrznej fali. To DeWonte zamknął właśnie kolejną Grotę.

## Szaman i Trupy

Ojalikę Otak bolały dźiąsła. Podejrzewała początek szkorbutu. Ssała teraz nieprzerwanie witaminowe cukierki. Lecz podobne lecznicze ekstrakty stawały się na rynku Piszczeli coraz droższe, zwiększał się

popyt, zmniejszała podaż – i Ojalika obawiała się, że może nadejść taki dzień, kiedy nie będzie jej na nie stać. Zbezzębnieję – wykrzywiła się na wiatr – skóra mi się pomarszczy, przywiędną mięśnie, rozsuszysz się twarz latami komputerowo modelowana do skończonego piękna; będę wyglądać jak oni. W tej fiolce, pod witaminizatorami, na samym dnie krył się jeszcze jeden, bynajmniej nie antyszkorbutowy cukierek. Bardzo słodki; bardzo kuszący; nie do zapomnienia. Dla odróżnienia miał czarną barwę.

– Na moment.

Podawała Lee lornetkę.

Murzyn zdjął odblaskowe okulary i uniósł Zeissa. Po chwili zmarszczył brwi.

– Co oni robią?

Ojalika naciągnęła rękawiczki, skopnęła z wojskowych butów wszechobecne błoto, wzruszyła ramionami. Obejrzała się na wejście do najbliższego namiotu, gdzie Imator wypruwał wnętrze starożytnemu magnetofonowi. – Będzie coś z tego? – spytała, przerzucając językiem landrynkę w drugi policzek. Imator nie raczył nawet odpowiedzieć. Wróciła wzrokiem do wzgórza totemu.

Ten przerażający tropiciel Anoukiego nadal konwersował ze starszyzną klanu za pomocą szerokich, powolnych, niemal rytualnych gestów. Z tej odległości – bez mała kilometra – nie sposób było dostrzec o czym właściwie dyskutują. Ludzie nie mieli jednak możliwości zbliżenia się, sami wyznaczyli tak szeroką strefę neutralną, w obawie przed lotnymi włóczęgami tubylców. Pięciosobowa grupka siedząca w kucki ciasnym okręgiem u stóp monumentalnego totemu, widziana z sąsiedniego wzniesienia, zdawała się nie więcej, jak miejscowym zwichrowaniem i nieregularnym wypiętrzeniem nagiego gruntu. Indianina można było rozpoznać jedynie na skutek różnicy wzrostu pomiędzy nim, a jego interlokutorami – sięgała ona dwóch metrów. Wiatr uderzył Ojalikę w twarz i rozmrugała się; Lee oddał jej lornetkę, odwróciła głowę.

Od pałatki oznaczonej emblematem Korpusu szło ku niej dwóch wojskowych w panterkach, goglach bitewnych (działają? – zdumiała się przelotnie), z samopowtarzalnymi kuszerami przy biodrach i wystającymi sponad barków rękojeściami tytanowo-plastikowych mieczy. Rozpoznała porucznika Sebeto i pułkownika Jeslitochcewa. Za nimi dreptał wyraźnie skonfundowany Spieglass, w tej swojej czarnej kominiarce. (Oskalpowany, skrzywiła się). W zsiniałych dłoniach ścisnął kubek parującej kawy.

Uśmiechnął się do Ojaliki przepraszająco, odsuwając się od żołnierzy.

Jeslitochcew zakaszłał sucho.

– Pani gubernator...

– To już?

– Co?

– Bunt.

Pułkownik, ruchem starego, zmęczonego człowieka, ściągnął gogle, przejechał dłonią w rękawicy po krótkich włosach.

– Nie chciałbym, żeby tak to się odbywało – powiedział cicho.

– Przykro mi. Nie dam ci tej satysfakcji.

Milczeli. Anouki chleptał kawę. Jeslitochcew patrzył ponuro ponad kobietą na wzgórze totemu; huśtał w opuszczonej lewej ręce ciemne gogle. Ojalika przyglądała się Imatorowi, uderzając nerwowo lornetką o udo.

– Bądźmy szczerzy – sapnęła Sebeto. – DeWonte to nadzieja ocalenia; pani – dogorywanie i degeneracja w strachu...

– Zamknij się – warknął Jeslitochcew.

– Co tym razem wam zaoferował? – spytała spokojnie. – Pomysł z bazami na księżycu upadł, gdy się okazało, że nie sposób podnieść czegokolwiek z powierzchni planety, a upraw z „Arki” nie da się odtworzyć. Ile wam zajmie połapanie się w tym nowym wariactwie?

– No i po co ten sarkazm? Niczego pani nie zmieni. Ludzie pójdą za DeWontem. Myśli pani, że znaczą teraz cokolwiek regulaminy? Wszystko bardzo się uprościło. A poza tym – jest pani kobietą. Uniosła brwi w szczerym zdumieniu.

– I cóż z tego?

– To prymitywny świat.

– Wrócił czas wojowników, co?

– Dla *homo sapiens* to stan naturalny. Ale nie w tym rzecz. Jedno jest ważne: ludzie pójdą za DeWontem. Nie mówię, że ja osobiście go popieram. Lecz nie mogę działać wbrew opinii ogółu, to tylko spotęgowałoby chaos. Ja również czuję ten ciężar odpowiedzialności, pani gubernator.

– Powiedz mi... powiedz: dlaczego właśnie DeWonte?

Jeslitochcew spojrział w górę, w niebo – jakby rzeczywiście mógł dojrzeć „Arkę”.

– To jego twarz pierwszą widział każdy po przebudzeniu z wiecznego snu.

– A więc – przypadek.

– Wszyscyśmy unoszeni falami entropii.

– Ojalika – mruknął Lee, nie odwracając się. – Oni tu idą.

Obejrżeli się. Szaman i dwa Trupy schodzili ze wzgórza totemu.

– Co jeszcze było w tej kapsule, którą dostarczył wam goniec? – spytała, unosząc do oczu lornetkę. Stojący krok za nią Jeslitochcew na powrót założył gogle.

– DeWonte przerywa zamykanie Grot. Poza tym informuje o wykryciu przez *Sentinele* orbitujące poza strefą wpływu Bagna sztucznego obiektu na stacjonarnej drugiego księżycy – rzekł sucho. – Przypuszcza, że to Saint-Pierce go tam umieścił.

– W pamięci „Arki” nie ma takiej operacji.

– W pamięci „Arki” nie ma wielu rzeczy.

– Prawda? Nikt nie wie co DeWonte robił przez te dwie doby od swego przebudzenia do otworzenia pozostałych anabiozerów.

Żołnierze za jej plecami wymienili czarne, wyłupiaste spojrzenia.

Sen i Trupy byli już w połowie drogi między wzniesieniami. Ojalika prowadziła ich wiernie rozbłyskami zeissowskich szkieł. Trupy, ponad dwukrotnie wyższe, znacznie szczuplejsze i przez to naturalnie przygarbione, wyglądały jak flankujące ofiarę modliszki. Ich upiorne postaci – właśnie przez tę swoją uniwersalną ohydę – były niemalże anonimowe; nie nosili żadnych ubrań, ani ozdób. Mogła zamknąć oczy, równie dobrze by ich widziała, jaskrawo wymalowanych na wewnętrznej stronie powiek: ta brzydota wżera się w mózg, niczym narkotyk. Stanowi w istocie nową wartość, przesuwając ci w umyśle skalę piękna, otwiera drzwi koszmarom dotąd niewyobrażalnym. Skóra obwisła, sflaczała, rozmiękła i zwrzodzona wielokrotnie. Twarz jak twarzy senne spotwornienie, wszystko po dziesięciokroć wykarykaturzone; ohyda, ohyda – utoczono ich z błota chorób i teraz się w spojrzeniu rozłazała, rozpuszczając, dezintegrując w powrocie do jednokomórkowej magmy. Choroby, tylko one, jakies straszliwe zarazy i plagi sekretne, ich ogień wściekły – to on stanowi żywioł owych istot.

Znowu powrócił – i zapewne niejedyn raz jeszcze powróci, przywołany przystającą myślą – ten obraz, scena ciężko odbita w plastycznym piasku pamięci: szaman i Trupy, tanecznie przykucnięci, w zamkniętym kręgu tajemnicy, jednak obcy; i oto szaman rytualnym gestem unosi dłoń ku niebu, a tamci odpowiadają mu synchronicznymi poruszeniami patykowatych ramion – i rozumieją się, bez wątplenia znaleźli jakąś wspólną im wszystkim mowę – zjednoczeni dzikością swych serc. Ojalika tego nie pojmowała i usilnie starała sobie wytłumaczyć ów fenomen, odwołując się do coraz dziwniejszych teorii.

Weszli na wzgórze i zatrzymali się w odległości wystarczająco dużej, by nie przytłaczać ludzi swym wzrostem; sen podszedł jednak bliżej.

– Ty, kobieto; ty możesz powiedzieć: tak; możesz powiedzieć: nie.

– Ja.

– Klan Strachu złoży przysięgę. Wy złożycie przysięgę. Pokój na prawach równowagi. Krew za krew. Granicę stanowi prawy dopływ.

– Powiedzieli ci to? – Zerknęła na Imatora, semantyka ze specjalizacją ksenologiczną, bezradnego bez swej, martwej teraz, aparatury, który podszedł do grupy, jeszcze ze śrubokrętem w ręku.

– Zarzucasz mi kłamstwo?

– Spokojnie, Luis.

– Nie jestem Luis.

Porucznik Sebeto nie wytrzymał smrodu Trupów i odwrócił się, przesłonił nos urękawiczoną dłonią. Zdegustowana Ojalika posłała mu zimne spojrzenie.

– A Saint-Pierce? – wyrwał się Spieglass. – Lu... Podążający Za Cieniem, oni na pewno wiedzą... Jeslitochcew westchnął ciężko.

– Będę tropił – rzekł szaman i na powrót zwrócił się do Ojaliki: – Nim słońce opadnie o ich dłoń, rozpocznie się ceremonia przysięgi pod totemem. Przygotujcie się.

– Dlaczego oni tu z tobą przyszli?

Stali i gapili się z wysokości tymi swoimi mętnymi, rozlanymi po potwornych obliczach ślepiami.

– Wiedzą, że mówię prawdę – uniósł rękę.

Lewy Trup pochylił się lekko. – *Tja krit. Dd-lemunyea-hh.*

Jeslitochcew, ciemno zapatrzony w masakrę na piersi tropiciela, postąpił krok ku Ojalice.

– Może byłoby lepiej gdyby przysięgę złożył DeWonte – rzekł cicho i z niejakim zmieszaniem.

Ojalika jakby go nie słyszała.

– Podążający Za Cieniem, pójdiesz za mną – skinęła na sen.

Odeszli poza namioty. Trupy czekały w bezruchu. Imator próbował zmusić je do podjęcia rozmowy; bezskutecznie. Pozostali przyglądali się ohydrom w milczeniu.

Ojalika zatrzymała się za wrakiem unieruchomionej na zawsze ciężarówki, ograbionej przezornie ze wszystkiego, co przenośne, nawet szyb.

– Powiedz mi... wytropisz go?

– Wiem gdzie mieszka. Powiedzieli mi.

– Naprawdę?

– Mieszka w Twierdzy.

– Mhm... przewidujesz jakieś kłopoty?

– On jest bogiem. Bogów się nie sprzedaje.

– Mhm... Ale tak czy owak – będziesz go tropił.

– Jestem kim jestem.

– Skąd to znasz?

– Co?

– Nic. Kiedy go już dopadniesz... powstrzymaj Anoukiego. Poślę Lee, dopilnuje. Ja muszę z Saint-Piercem porozmawiać.

– Po co?

– On wie.

– Co?

– Wszystko. Bagno jest jego.

– Chcesz władzy. Biały Diabeł chce zemsty.

– Powiedz czego ty chcesz.

Szybkie, ostre zdania. Ojalika uciekała wzrokiem, lecz sen patrzył bezlitośnie.

– Powiniennem cię wtedy zabić. W tobie jest demon.

## Twierdza

W miejscu, gdzie Pazur załamuje się w strome, urwiskowe zbocze, odrasta odeń masywny, kamienny filar; na jego szczycie miaszka bóg Klanu Miłosierdzia. Nie można tam dakiem wylądować. Nie można tam podejść od południa, wschodu ani zachodu. Można tam podejść od północy, ale na północy czekają Legiony.

– Co?

– Legiony.

– A cóż to takiego, u licha?

Podążający Za Cieniem zmilczał.

Lee wzruszył ramionami.

W trzasku wirtualnych płomieni ogniska noc szyfrowała tajemne ostrzeżenia.

Biały Diabeł przyglądał się poprzez dym jak tropiciel zatruwa groty strzał.

– Skąd wzięłeś tę truciznę?

– Zrobiłem.

– Jak? Z czego? Skąd wiesz, że dla nich też jest zabójcza?

– Każdy świat ma swoje trucizny, swoje leki.

Czarny Czarnooki zapalił fajkę. Rozciągnięty leniwie pod czerwono-żółtym *poncho* obserwował zaciemnianie kolejnych gwiazdozbiorów przez przepływające chmury; w myśli nazywał te obce mu konstelacje. Młot. Statek. Akcelerator. Prezerwatywa. Ptak. Karabin. Włosy. Nie rozumiał polecenia Ojaliki, by towarzyszyć szaleńcowi i jego snowi w tym śmiertelnym pościgu za wampirem – lecz teraz naszło go niespodziewanie straszliwe podejrzenie, iż uczyniła to, by uchronić go przed zemstą DeWontea, który wszak zapowiedział był swe rychłe zniebozstąpienie.

– Ojalika... – odezwał się Anouki i Lee drgnął – czemu ona nosi ze sobą ten telefon?

Lee zaśmiał się.

– Ma wciąż nadzieję, że znajdzie takie miejsce, gdzie on zadziała. Nie wierzy w Bagno. Mówi: to niemożliwe, to nie ma sensu. Wierzy w naukę.

Potwór: nadbiegł, zawył. Szaman poderwał się na nogi. Nóż. Tomahawk. Potwór wył na południe, na Pazur tnący krzywym cieniem gwiazdoskłon. Poderwali się i ludzie. Lee podniósł szablę, wyciągnął ją z pochwy. Anouki, oblizując wargi, przeładował remingtona. Daki w nagłym strachu rozłopatały się bezsilnie na uwięzi długich rzemieni. Cayuga drapał blizny po odrąbanych palcach.

– Widzisz to?

– Co?

– To na niebie.

Tropiciel schował nóż, czym prędzej założył na łączysko cięciwę, pozbiierał strzały. Potem skoczył w ognisko i zdeptał je. Czarny Czarnooki – teraz bez okularów – wycofał się wolno za pień powalonego niedrzewa; na klindze jego pałasza rozzielenił się blask księżyców.

Sen zaintonował jakąś jęklącą pieśń; Anoukiem od tego nieludzkiego dźwięku przebiegł dreszcz po plecach.

Potwór warczał ostrzegawczo.

– Co to jest? Co to jest?!

Spadły na nich z nocnych wysokości, wynurzyły się z mroku niepuszczy – Legiony.

– Na miłość boską... co to jest?!!

Lee wypadła z ręki szabla. Nie miał teraz czasu naciągać rękawic; wytarł wilgotne wnętrza dłoni

o płaszcz, pochylił się niepewnie, podniósł broń. Nagle ciężka. Zaklął modlitewnie. Słyszał krzyki rozpanikowanego Anoukiego. Ryki ze strony przeciwnej. Spojrzał. Smok. Nie uwierzył. A jednak – nadal smok. Ryczy. Miota się po polanie. Skrzydła jak chorobliwe błony nocy. Owadzio szybki. Skórę ma czarną i tylko cieniem go widać. Sen, niczym dobrze naoliwiony automat, w niemożliwym tempie szyje doń z łuku zatrutymi strzałami. Potwór wgrzyza się wściekle w smoczy ogon. Lee krok za krokiem wstecz. Wtedy – harpie. Spomiędzy gwiazd. Białopiersne erynie o orlich skrzydłach. Ich pazury – wszędzie dookoła. Siecze Lee z rozpaczliwych zamachów; raz, drugi, trzeci; traci równowagę, rzuca go w prawo – Lee garbi się, przykłęka, podpira... pazury drą i szarpią jego płaszcz na plecach. Przewraca się, przetacza. Kątem oka: smok, smok ponad wszelką wątpliwość, smoczy stuprocentowo. A tu harpie. Więc wstaje. One nurkują z ciemności, starając się w przelocie rozdrapać go na strzępy. Lecz usiekl już trzy spośród nich. Cztery. W jednym z obrotów dostrzega Spieglassa walczącego z czymś, co wygląda jak sześcioreki goryl; Spieglass nie jest w stanie obrócić remingtona lufą ku stworowi, tamten ma po prostu zbyt wiele tych łap. Smok zaś kona od sekretnej trucizny szamana, już tylko niezdarnie próbuje zedrzeć z siebie strzały; Potwór dogryza się do jego tętnicy i płynie gęsta, gorąca smocza krew. Tymczasem niepuszcza rodzi kolejne monstra. Co to jest? Biegną, lecą, skaczą, wiją się, przepoczwarzają. Grzmi remington. Wyje sen. Warczy Potwór. Szał. Noc. Noc to usprawiedliwia.

...Potem wytarł klingę; wyszczerbiła się była lekko. Nie mógł jej unieść wyżej, jak do pasa, a ręka drżała mu przy tym tak, że czubek ostrza pałasza latał na pół metra we wszystkie strony. Znał to zmęczenie mięśni, chociażby z rehabilitacji poanabiozyjnej, lecz teraz, w kontekście owej specyficznej psychicznej bezwoli, jaka go niespodziewanie dopadła, nazwał je od nowa: zmęczenie walką. Depresja pobitewna.

Idąc przez polanę – nagle tak cichą – potknął się kilkakrotnie o rozplywające się powoli w mgłę truchła; wreszcie jedynie grzązł w nich po kolana. Sny. To sny. Legiony Saint-Pierce'a. I wtedy pomyślał: Luis! Obejrzał się. Podążający Za Cieniem stał nad pośmiertnie ze sobą splecionymi zwłokami Anoukiego Spieglassa i sześciorekiego goryla, i nucił coś cicho. Lee powłókł się do daków (dwa były martwe), zaczął szukać bandaży; myślał: „Co on teraz robi? Wie. Wie: wkrótce... umrze. Przystanie istnieć. Ile czasu mu pozostało?”. I po chwili: „Koniec polowania”.

Obwiązując rozsiekany bark, krzyknął przez nocną polanę powleczoną trupią mgłą:

– Co teraz? Szamanie...? Co teraz?

Podążający Za Cieniem, nie odwracając się, wskazał tomahawkiem wysoką ciemność. – Twierdza.

## Słońce wschodzi; słońce zachodzi

Rankiem po walce świat jest jak wyjałowiony; tropiciela przygniata wspomnienie niedawnego niebezpieczeństwa, w porównaniu z nim każdy obraz, każdy dźwięk zdaje się błądy i nijaki. Pod wieczór wszystko zaczyna odzyskiwać naturalne proporcje i walka odchodzi w przeszłość dalszą, miesza się z pamięcią dni z minionych miesięcy i lat.

Zachodzi/wschodzi słońce. Nawet w Bagnie jest w tym piękno. Nawet tu. Podążający Za Cieniem chłonie to piękno, ponieważ poza nim nic już mu nie pozostało. Siedzi na nagim stoku pod masywem Pazura i stara się nie patrzeć na konającego Potwora, nie słyszeć jego błagalnego skomlenia: zwierzę czuje, że to śmierć. Utrata realności istnienia boli. Już widać przezeń odległe góry. Ale szaman nie może mu pomóc, rozemglenie się Potwora to preludium jego własnego końca, to samo go czeka. Więc już tylko słońce, tylko ono.

Kilkadziesiąt kroków od tropiciela wylądowały trzy daki, ale nie spojrzął, bo i po co?

Ojalika pomogła Lee zejść z jego wierzchowca; Murzyn zatoczył się. Prócz posiekanego barku, który prymitywnie obwiązał był sobie podartą na pasy koszulą, wykrwawiał się z nowej rany na prawym

biodrze; nie mógł ustać. Zrobił pół kroku i usiadł; ale siedzieć też nie był w stanie i skończył rozciągnięty jak długi w cieniu daka, który od woni ludzkiej krwi rozkolebał szaleńczo swymi szyjami/ogonami. Ojalika, odziana w jakieś przedziwne, połyskujące mokro, bufiaste ubranie, pochyliła się nad nim zaniepokojona.

– I jak?

– Nic, nic...

– No co, boli?

– Daj spokój.

– Żeby chociaż morfina...

– Masz?

– Nie.

– Och.

– Lee...

– Kurwa mać.

Z zaciśniętymi wściekle wargami podeszła do Podążającego Za Cieniem; Indianin siedział ze skrzyżowanymi nogami, z łukiem przez uda, zagapiony w słońce. Obok konał dematerializujący się Potwór. Wytrzeszczyła nań oczy. Dopiero kolejne przekleństwo Lee zza pleców otrzeźwiło ją.

– Co, Luis, byłeś tam? Luis? Powiedz.

Ale milczał. Nie istniała dla niego. Wiatr poruszał jego włosami, amuletami, skalpem przy pasie. Słońce – tylko ono.

– Luis, do cholery!

– Pieprzony Indianiec – jęknął Lee.

Potrząsnęła szamanem. Nic.

– On też umiera – rzekł Lee. – Zostaw go. To już nie ma sensu. Przegraliśmy, DeWonte wygrał. Pogódź się z tym, zanim cię to zezre... Daj mu umrzeć.

– Nikt mi tu nie będzie zdychał!

– Sztuką jest wiedzieć, kiedy się poddać.

– Co za banały mi tu sadzisz!

Zachichotał: – Banał, w odpowiedniej chwili powtórzony, potrafi odzyskać zatarte piękno starożytnej mądrości.

– Wariat.

– Ojalika...

Przeraził ją ton jego głosu; wróciła do Murzyna. Usiłował się podnieść na łokciu. Zdjął ciemne okulary, jakby zdzierał sobie z twarzy skórę. Przykłęka. Patrzył jej w oczy. Usiłowała go objąć, podtrzymać, ale był zbyt ciężki, zbyt wielki. Coś wybulgotał wraz z krwią.

Potem: – Ojalika... ja...

– Tak.

No i skonał.

Nie uwierzyła. Chwilę jej zeszło na wtrząsaniu weń życia. Lecz nie ożył. Wtedy spostrzegła, że ma jego krew na ubraniu. Wstała. Wściekłość w oczach.

– Ty skurwysynu – wysyczała. – Jak mogłeś mi tak zdechnąć? Tylko ty mi zostałeś! Jak mogłeś mnie zdradzić?! Wszyscyście tacy sami!

Zaczęła go kopać. Martwe ciało przyjmowało to z całkowitą obojętnością. Kopała więc i kopała.

Nagle czyjaś dłoń na ramieniu. Odskokczyła. Podążający Za Cieniem.

– Nie bezcześć zwłok.

Oklęła go w języku, którego nie znał.

Otarł pot z twarzy, zerknął na Potwora, już nie bardziej realnego od niedokończonych myśli.

– Nareszcie oprzytomniał, co? – sarknęła Ojalika.

– Cicho, cicho.

– A szlag by cię trafił! Miałaś sprawdzić Twierdzę, a nie...

– Sprawdziłem.

Po chwili ona:

– I co?

– Dawno pusto. Nie ma go. Przewidział nas.

To ją złamało ostatecznie. Usiadła na ziemi, plecami do Lee.

Niewyraźnie, kalecząc słowa: – Tylko on jeszcze... Jeślibyśmy Saint-Pierce'a schwytali... wszystkie jego tajemnice, władza nad Bagnem... Cholerny DeWonte, skrytobójca pieprzony...

Przysiadł obok.

Gdyby tak spojrzeć na nich ze szczytu przeciwległego do łańcucha gór wzgórze – a nie ma tam nikogo, by spojrzeć – stanowiliby zaledwie dwie małe, jasne plamki na tle matowej czerni porostu i szaro-szarej mozaiki głazów, kamieni i żwiru, na stoku masywu zwieńczonego wśród chmur złowrogim grotem Pazura. Daki niemal wtopiłyby się w zbocze. Potwór rozemgliłby się do postaci lekkiego zafalowania powietrza. Kąt biegu spojrzenia uniemożliwiłby natomiast rozpoznanie zwłok Lee.

Ojalika odpłynęła; bardziej, niż do Luisa Laviera, mówiła do jego wyobrażenia we własnej głowie.

– A wiesz, że lecąc tu wymyśliłam sposób na utrzymanie cię przy życiu? Lee od razu powiedział mi o Anoukim. Pomyślałam sobie: jeśli go teraz nie dopadniemy, niech Luis tropi go dalej, już dla mnie, teraz ja będę w niego wierzyć, będzie moim tropicielem... Ale po co, po co to wszystko?

– A co się zmieniło? Będę go tropił.

Nie zwróciła uwagi na niepojętą zmianę jego postawy – jeszcze przed momentem ni słowa by nie rzucił za swym życiem.

– Lee umarł.

– Ach.

Jakoś złagodniał. Uleciała zeń dzikość bezwzględnych drapieżcy.

– Tak nie można. Co bogowie zabierają, tego człowiek nie zatrzyma; co bogowie dają, trzeba brać.

– Odpierdol się.

– Życie jest życiem, jakiegokolwiek by nie było. Każdy moment jest tyle samo wart. Bezczytność to śmierć.

Wreszcie oprzytomniała. Spojrzała na niego.

– A tobie co się stało? Już nie wszystko ci jedno? Do czego ty mnie przekonujesz?

Gestem przejętym od ojców, którzy przejęli go od swoich ojców, a ci od swoich, i tak aż po niepamięć pramacierzy – wskazał, zapadającą za horyzont, bladą kulę słońca.

– Czy widzisz piękno tej chwili? Czyż nie jest ono warte każdego czasu? Czy nie usprawiedliwia i tłumaczy wszystkiego? – Przekazał jej jedyną uniwersalną mądrość, jaką świadomie poznał.

– Sen mi to mówi – odrzekła, nie wiedząc co odrzec.

– Sen. Ulotność chwili i trwałość chwili to ja. Uwierz we mnie.

Obejrzała się na Lee.

– Tym się różnimy, mój drogi śnie, że moja pamięć nie jest wybiórcza.

On obejrzał się na Potwora, którego już nie było.

– Różnimy się jedynie sposobem magazynowania teraźniejszości.

– Ty nauczyłeś się żyć wyłącznie nią. No ale ty musisz: tylko w niej istniejesz.

Jeszcze nie rozumiała, że sama również jest już zaledwie snem.

– Uwierz we mnie – powtórzył, spoglądając kontrolnie na swoje dłonie, czy aby nie zaczęły

tymczasem zatracać swej cielesności.

Zapaliła papierosa, żeby się przekonać jak bardzo trzęsą się jej palce.

– A cóż mi ma do zaoferowania takie życie?

Po raz drugi uczynił magiczny gest.

A chwila była taka:

Czerń i fiolet i żółć i biel. Obce kolory w obcej ich konfiguracji. Lico nieba w wojennym malunku. Lecz to wszystko się porusza, zmienia, płynie; tam zmagają się ze sobą w śmiertelnym wyścigu zahoryzontalne wichry, tysiącocdcieniowe chmury zanurzone w ich zimnym nurcie suną nad ziemią szybciej od myśli... – ale to tam, w nieopisywalnej odległości, tam to pędzi i mknie; stąd zaś widziane, zdaje się zgoła wisieć w koronie gwiazdy, rozedrgane mocą światła: rozczesane obłoki, mgły ponad możliwość podniesione, przejrzywające wiśniowo od bliskości słońca powietrze, samo słońce nad wyraz w tym Bagnie słoneczne. Tak daleko. A jednak żyje. Przestrzeń żyje. Czuć jej oddech w niezmiennej perspektywie zmiennych obrazów. Jak się przesłaniają wzajemnie skrzydlate potwory w godowej walce wyżej cmentarnej niepuszczy; jak raz i drugi rozpióropuszy się żalobnie popiół i dym ze stożka niewidocznego wulkanu; jak cień po cieniu cwałują po przebarwionej równinie grupki kościstych zwierząt. A słońce coraz bardziej rozedrgane, rozmywają się w chmurnej zawieszynie jego kontury; coraz mocniej słoneczne w swym zejściu pod ziemię. Chwchchchchwch... – tchnienie wieczornej pustki. Obejmować wzrokiem przestrzenie, jakich w całym swoim życiu nie przemierzysz. Czuć na skórze wietrzny dotyk dali najdalszych. Istnieć. Tak. Tak.

– Zachód słońca.

## Dwa groby

Spoczęli obok siebie, a gdzieś w okolicy krążył zapewne i duch ducha Potwora. Podążający Za Cieniem z Białym Diabłem spędził był nieporównanie więcej czasu, aniżeli z Czarnym Czarnookim, lecz wiedział, że to Murzyna zapamięta jaśniej, ostrzej i wyraźniej. Różni byli jak barwy w ich imionach, i to Lee był wojownikiem. Szaman złożył jednak wraz ze Spieglassem Spieglassa skalp. Szacunek należał się mu jako stwórcy. Bóstw się nie ocenia.

Początkowo zamierzał ciała spalić, lecz zabroniła. Wiele się będzie musiała nauczyć. Prochy spalonych rozwiewa wiatr, odtąd są oni obecni w każdym miejscu i każdym czasie. A groby tylko tu i teraz. Plemię odejdzie i nie wróci; nie zabierze cmentarza ze sobą. Po cóż wzmacniać dni minione, niech nie rosną w siłę naszym kosztem. Jeszcze tego nie rozumiała.

Na północ, powiedziała, na północ. Tam bezludzie. Lećmy. Wierzę, wierzę w ciebie. Ona się boi tego demona, DeWonte'a; to dlatego. Strach przetrwa wszystko. Teraz już nikim nie dowodziła. Teraz już nie od niej nie zależało. Teraz to był jego żywioł.

Rzekł: – Zachód. Potem zabijemy daki.

Zmilczała.

## III

### To już ostatnia kartka

Muszę gęsto i drobno pisać. To trudne. Kiedy właściwie ostatni raz przed Bagnem zmuszona byłam pisać ręcznie? Nie pamiętam nawet. Teraz jednak wiem, że w odręcznym zapisie więcej się przekazuje, aniżeli samą treść zawartą w ciągach liter i kombinacji ich kombinacji; patrzę na poprzednią stronę mego dziennika i widzę ów dzień – dzień przed dniem przedwczorajszym – w którym pokryłam ją

mozaiką zdań wyekstraktowanych z minionych myśli. Czy muszę je czytać, by przypomnieć sobie nastrój tamtego wieczoru? Nie. Ale to ja – a ktoś obcy? Bo i dla kogo ten dziennik? Prawdą jest, że i najbardziej sekretne pamiętniki chorobliwych introwertyków pisane są przecież z podświadomą intencją przeczytania ich przez kogoś całkowicie obcego; w rzeczy samej niczego, ale to niczego nie pisze się i nie tworzy dla samego siebie. Ciekawam więc w czyje ręce trafi ten notatnik? Ty – ty – cóż sobie o mnie, o nas myślisz? Jak sobie nas w głowie malujesz? Już teraz jesteśmy legendą. Dziki Sen i Szalona Ojalika. Szaman nieistniejącego szczepu, tropiciel wampira na obcej ziemi, pod obcym słońcem. Demoniczna jego *squaw*, była pani gubernator, zdetronizowana despotka o sercu z lodu. Och, słyszałam pieśń o nas. Jesteśmy legendą. Co za historia. Niemal czuję ten czas biegnący wstecz, decywilizujący nas w szalonym tempie; dziczejemy tu, na Bagnie, my wszyscy; ludzie. Niedługo bogów sobie utoczmy na obraz i podobieństwo naszych lęków i marzeń. Nie uwierzyłabym, gdyby mi ktoś coś podobnego wcześniej zapowiedział. Wszak to absurd. Nie można zapomnieć własnych korzeni. A jednak. Gdy ostatnią zimą – oś tej planety jest bardziej nachylona względem płaszczyzny orbity, aniżeli początkowo sądziłam – gdy ostatnią mroźną zimą mijaliśmy Piszczele ze strony Wierchów, ponownie ujrzałam nad horyzontem złote luny słonecznych refleksów bijących od lusterek komunikacyjnych. Samych lusterek z dołu nie widać, jedynie te błyski. Pamiętam jak nadzorowałam montowanie owych metalowych zwierciadeł, drewniano-sznurowych konstrukcji, na których się obracają; pamiętam pierwszą wiadomość, jaką przekazaliśmy Morse'm za ich pomocą „Arce” *via satelity: Brak potwierdzenia możliwości komunikacji radiowej. Kontynuować ewakuację statku. Zaprześcić eksperymentów z transmutatorami, niebezpieczeństwo zbyt duże. Nie przerywać nasłuchu z kierunku Słońca. DeWonte natychmiast, powtarzam: natychmiast ma przybyć na powierzchnię planety. Diana.* Pamiętam słowo w słowo; wspomnienia minionej chwały... „Diana” to było moje imię kodowe, jako dowódcy i tymczasowego gubernatora Bagna. A teraz – co i komu komunikują zwierciadła z Piszczeli? Przecież nikogo już nie ma na orbicie. Z kim oni rozmawiają? Stałam i odczytywałam kolejne słowa z układów błysków i zmrocznień nadmiejskiej luny. ...*urodzaj... cofnij plagi... ześlij ratunek...* To była modlitwa; oni w ten sposób wznoszą w kosmos modły. Do kogo? Do „Arki”? Do Ziemi? Przygnębia mnie to bardziej, aniżeli nędza mego własnego położenia. Jak nisko i jak szybko może człowiek upaść. Ten regres... aż dreszcz przebiega. Co mi wtedy powiedział Jeslitochcew? *Jest pani kobietą... To prymitywny świat.* Nie rozumiałam go. Co ma do rzeczy płęć? Sama zapomniałam o przeszłości swego gatunku. Okres, w którym płęć istotnie nic nie znaczyła dla piastowanej funkcji czy zawodu, stanowi w historii *homo sapiens* jej niewielki ułamek, w rzeczywistości ogranicza się do ostatniego wieku, półtora – w porównaniu do tysiącleci klasycznego podziału obowiązków pomiędzy kobiety i mężczyzn i dominacji tych ostatnich. Awans społeczny kobiet jest nierozzerwalnie związany z postępek; wynika z niego: tradycyjne przewagi płci silniejszej w rozwiniętym, stechnicyzowanym, skomputeryzowanym społeczeństwie, gdzie jedyną wartością jest informacja, a zatem produkt intelektu, nie mięśni – straciły zupełnie na znaczeniu; wszystkie międzypłciowe różnice niweluje technosfera: gdy zabić można myślą, nikt nie zważa na wzrost, wagę i siłę. Ja przyjąłam ten stan za naturalny, z podobną naiwnością, z jaką dziecko uważa swych rodziców za nieśmiertelnych i niezwykniętych. Tymczasem nic bardziej mylnego. Wystarczy odjąć nam wszystkie te komputery, maszyny... wyjąć ze środowiska – a stajemy się tym, czym zawsze byliśmy: kochankami, służącymi, niewolnicami, kucharkami... matkami. Czuję, czuję, jak rośnie we mnie to niemożliwe, nierealne, senne życie: mogłabym je zabić w swym ciele jednym zawieszeniem wiary w istnienie Luisa. Czy można zająć w ciężę z własną myślą? Czy może zająć w ciężę kobieta chirurgicznie bezpłodna? Ja nawet nie pamiętam jak przebiega naturalny poród, wszak i sama zrodziłam się z łona maszyny. W Bagnie gniją i fundamenty rzeczywistości. Rozkład dosięga także logiki. Cud cudowny, a jakoś ohydny pod tym niebem koloru błota. Tu wszystko zapada w śmierć i brzydotę i cień. Luis mnie uczy terażniejszości. Jego filozofia jest obroną przed nieszczęściem czającym się za

każdym dniem, każdą godziną, chwilą. *Carpe diem*. Być może on widzi tu piękno, ja już nie. Mam lusterko. Boję się w nie spojrzeć. Wyglądam jak własna babka. Boże mój; wstręt po prostu w sobie budzę. Jak można tak żyć? To wegetacja. On zabrał mi fiolkę z trucizną; którejś nocy wygadałam się głupio. Mówi, że mnie kocha. Biedny dzikus. Którejś innej nocy trzymałam już nóż na jego gardle. Tak wydało mi się łatwiej, prościej, niż zabić zaniechaniem wiary. Co mnie powstrzymało? Strach przed samotnością. Samotności boję się nawet więcej, niż DeWontea. Zresztą DeWontea najprawdopodobniej przestał już mnie ścigać. Nie ma po co. Nie jestem w stanie mu zagrozić. Machnął ręką na Saint-Pierce'a: nikt nigdy go nie złapie. Złapali natomiast parę tych jego wampirzych podróbek; coraz więcej ich wypuszcza – teraz, gdy ludzie nie mają powodu bać się Trupów, to one spełniają rolę straszaka i powstrzymują zapaleńców z Piszczeli od sportowych eskapad, lekkomyślnych łowów na nieśmiertelnego Zjadacza Krwi, jak nazywa go Luis. Choć ta taktyka działa przeciw także przeciwko niemu: coraz trudniej mu dopaść jakiejś ofiary. Nie rozumiem tego. Aż dziw, że jego ofiarami nie staliśmy się my właśnie, zwłaszcza, że – jak zarzeka się Luis – idziemy bezustannie jego tropem, choć ja, jako żywo, żadnego tropu nie dostrzegam. Luis mówi, że go dogonimy; że Zjadacz Krwi w końcu się zmęczy. Ale co innego może mówić? Musi tropić, takie jest jego przeznaczenie, jego los, sens istnienia, przyczyna stworzenia. Ileż to już lat takiej błędnej wędrówki po Bagnie za niewidocznym, zgoła mitycznym wampirem? Och, ja go widziałam; spotkałam się z nim, jako dowódca wyprawy, przed zapadnięciem w anabiozyjny sen, jeszcze wewnątrz Układu Słonecznego. Skłonił się, ucałował mi dłoń. Kabotyn, pomyślałam. Uśmiechał się, miał uśmiech niczym inkwizytor. Spojrzał – i poczułam się obnażona do nagich kości mych grzechów. Pamiętam jego słowa: „Miłych snów, Ojaliko, miłych snów”. Żadnego akcentu; i głos też jakiś pusty. Specjalnie przypatrywałam się jego ustom: nie miał kłów. Nie wtedy, w każdym bądź razie. Pamiętam każdą minutę tego ostatniego dnia. Szaleństwo meldunków do wszystkich możliwych ośrodków dowodzenia w Układzie. Tłok na łączach. Ludzkość ryczy w kosmos nieustanną paplaniną każdej stacji radiowej, telewizyjnej, każdej bezprzewodowej rozmowy telefonicznej. Tam to jeszcze był dom, bo mogliśmy oglądać na żywo walkę o tytuł mistrza wszechwag, odbierać serwisy informacyjne dziesiątek sieci, śledzić notowania giełdowe. A teraz? Nie jestem w stanie pojąć tego milczenia Ziemi. Czasze radioteleskopów „Arki” wciąż trwają zapewne wycelowane w kierunku Słońca. Nie odebraliśmy ani echa szumu. A przecież powinny do nas docierać sygnały opóźnione zaledwie o parę lat, szliśmy z podświetlną. No, trzeba dodać ten czas, przez który przetrzymał nas na orbicie Saint-Pierce. Ale mimo wszystko... to milczenie – przeraża. Były co prawda problemy z kalibracją systemów i programami astrograficznymi, były tam w nich jakieś niezgodności – ale Słońce zlokalizowaliśmy bez problemu, Lee potwierdził. Więc co się dzieje? Czy Saint-Pierce może odpowiedzieć i na to pytanie? Złapiemy go, złapiemy, szepcze mi Luis. On zawsze będzie tak.

## Głos i głos

- Lubisz dzieci?
- Jesteś w ciąży?
- ...
- Tak??
- Luis...
- Nie używaj tego imienia, mówiłem ci; to nie jest moje imię, nie ma Luisa.
- Ty nie istniejesz. Rozumiesz to? Nie istnieje Podążający Za Cieniem.
- Nie rozumiem. Póki co, jestem równie realny, jak ty.
- A myślisz, że ja pojmuję mechanizm funkcjonowania Grot? To zaprzecza logice. Ale jednak – dzieje się. Wbrew fizyce, wbrew... wszystkiemu. Jesteś snem. Boję się; sama chwilami o tym

zapominam.

– To dobrze.

– Tak, to dobrze... nie już wówczas nie podważy mocy twego istnienia.

– Pragniesz mojej śmierci?

– Chwilami. Swojej również.

– Swojej możesz pragnąć, ale dla mnie te twoje pragnienia są niebezpieczne. Marzy ci się śmierć ojca twego dziecka?

– Nic mi się nie marzy. Co najwyżej przeszłość. A tego dziecka ja nie chcę. Zresztą ono również jest niemożliwością. Nie myśl o mnie, jak o jednej ze swoich *squaw*.

– Nie potrafię inaczej.

– Wiem. Przepraszam.

– Ty jesteś złą kobietą. Ale to nie twoja wina... Nie śmieję się!

– Chryste Panie, co za idiotyzmy. Tylko się powiesić. Ja – w ciąży. Mam rodzić, jak jakieś... zwierzę. Brzuch mi urośnie. Krew, cierpienie. Co za ohyda. No jak zwierzęta. Dziczejemy, dziczejemy.

– ...

– Dlaczego ty nigdy nie wymawiasz mego imienia? Pogardzasz mną? Co ty w ogóle czujesz? Nic z tego nie rozumiesz, ale ty nie musisz rozumieć, nie tak funkcjonuje twój umysł. Co ci się... śni?

– Nie tobie znać moje sny.

– Przeszłość, prawda? Przeszłość nieistniejąca... Dorzuć do ogniska.

– ...Nie zamartwiaj się tak; złapiemy go i znowu zdobędziesz władzę.

– Nie opowiadaj mi tu bajek.

– Jesteśmy na jego tropie. Wiem to. Idziemy za nim. On ma swoje stałe trasy. Stopniowo poznaję ten schemat. Złapiemy go.

– Taa, na pewno.

– Ta żółć żalu, gniewu i rozgoryczenia po utracie. Wypluj ją. Ona cię zatruwa.

– Mówisz jak Lee.

– Lee był mądrym człowiekiem.

– Był wierny. Nie zdradził. Zginął w mojej obronie.

– Na bogów, jesteś kobietą, zatem zachowuj się jak kobieta, a nie jak wojownik; to odpychające.

– Najpierw musiałbyś mnie tego nauczyć.

– ...

– Patrz: włosy mi odrastają.

– To dobrze.

– *Squaw* ma wyglądać jak *squaw*, co? Znam to, znam. Swoją drogą miałam przecież gwarancję wiecznej depilacji... Ech, Bagno wszystkiemu da radę. Może i tobie palce odrosną; palce czy włosy, co za różnica, wszystko bezsens...

– ...

– Powiedz mi – jesteś szczęśliwy?

– Tak.

– Naprawdę??

– Powiedziałem.

– Ale...

– Cicho.

– ...

– Ojalika?

– Mhm?

– Ja lubię dzieci.

## *Argentina, Argentina* czyli Człowiek Z Obrzynem

To było polowanie; a w jego trakcie – polowania pomniejszych. Teraz, na przykład, tropili wiejohydę, jak ochrzciła zwierzę Ojalika. Paskudnie wygląda, wspaniale smakuje. Tropili ją od rana, kiedy to na jej ślad natrafił przypadkiem Podążający Za Cieniem. Dawno już nie jedli świeżego mięsa. Cięży Ojaliki nie było jeszcze widać, ale szaman co i raz powtarzał jakiego to odżywiania się przez matkę wymaga dziecko w jej łonie; zwłaszcza nieistniejące, dodawała ona. Nienawidziła tego obcego embrionu w swym ciele; brzydziła się nim. Od wieku – wieku przed startem „Arki” – rodzą cieleśnie wszak tylko analfabetyczne, zagłodzone matki środkowej Afryki i dzikiej Amazonii, cywilizacja uwolniła kobiety od niewoli macierzyństwa, owego przymusu cierpienia. Zezwierzęcam się, intonowała nieustannie swą mantrę Ojalika. Zdradził ją własny organizm, niby genetycznie i chirurgicznie niezdolny do zapłodnienia. Nienawidziła, nienawidziła tego dziecka; a wraz z tą nienawiścią rosła w niej niechęć i odraza do wyśnionego cudzym marzeniem jego ojca, niemożliwego Cayugi, dzikusa w jej ramionach, ciepłego ciała przy jej ciele.

– Ktoś śpiewa.

– Mhm?

Uniósł kaleką dłoń, przekrzywił głowę, znieruchomiał; w takich chwilach nie wierzyła w jego człowieczeństwo.

– Posłuchaj.

Oparła się o niedrzewo, posłuchała. Faktycznie: coś, jakby echo echa ludzkiego głosu, płynęło cichym strumieniem poprzez półmroczną niepuszczę. Z której to strony? Tu słuch zawodzi. Tylko Podążający Za Cieniem, tylko on, kierowany tym swoim zwierzęcym instynktem nigdy się nie myli, nie jest zdolny do pomyłki. Spojrzała: patrzył ku północy.

– Tam – szepnął.

Nowe polowanie. W niepamięć poszła wiejohyda. Teraz maszerowali na północ, ku głosowi. Luis pierwszy. To on był tropicielem, on wskazywał ścieżki, wybierał drogi; on przewodził, nawet nie próbując udawać, że w jakikolwiek sposób liczy się w tej kwestii z jej zdaniem. Ona zawsze z tyłu. Patrzyła na jego plecy i wzbierały w niej czarne, gorące myśli.

Śpiewak prał w strumieniu swoją koszulę.

– *Argentiina, Argentiinaaaa...* – zawodził smętnie, klęcząc na kamienistym brzegu, przeciwległym do tego, na którym czaili się w gęstych acz karłowatych zaroślach Luis Lavier i Ojalika Otak.

Ojalika powstrzymała podnoszącego się już szamana. – Widzisz? To po lewej? Obrzyn. Strzelba taka. Uważaj.

Podążający Za Cieniem nie miał specjalnie wysokiego mniemania o broni palnej; podług niego używali jej jedynie samobójcy i głupcy. Ale nałożył strzałę na cięciwę; wstał z uniesionym łukiem.

Śpiewak, nie zmieniając pozycji, ze wzrokiem opuszczonym na praną koszulę, zawołał:

– Podążający Za Cieniem! Ojalika! Podejdźcie, podejdźcie!

Ojalika zmartwiła. Zmrużyła oczy: usiłowała dojrzeć skryte we własnym jego cieniu oblicze mężczyzny – nie udawało się jej. W końcu również wstała; szaman przechodził już po gładkich kamieniach na drugą stronę strumienia, łuk nadal miał wzniesiony, choć nie napięty.

Przyskoczył do nieznajomego i odkopał odeń obrzyna.

– Kim ty jesteś?

Tamten, wyżąwszy w pierw koszulę, podniósł się, odgarniając znad czoła długie, jasne włosy. Uśmiechał się do Ojaliki pozostałej na drugim brzegu.

– To sen! – krzyknęła.

Podążający Za Cieniem odstąpił, naprężył cięciwę. Grot strzały nakierowany był nieruchomo prosto w serce nieznanego. Ojalika Otak skojarzyła sobie przelotnie tę scenę ze sceną z polany z nagim trupem Isaaka – kiedy to było, ile lat temu? Czas, mój Boże, czas; on mnie morduje.

– Na pewno? – rzucił Cayuga przez ramię.

– Nie było go na pokładzie „Arki” – odparła.

– Kim ty jesteś? – powtórzył tropiciel do Człowieka Z Obrzynem.

– A kimże ty jesteś? – Mężczyzna przerzucił skręconą w mokrą linę koszulę przez bark, rozchlapując wokół zimne krople.

– Kto cię wyśnił? – zapytała Ojalika.

– Nie znacie ich.

– Znam wszystkich – warknęła. – Saint-Pierce? On?

– Zabijecie Saint-Pierce'a. Ty go zabijesz – wskazał Podążającego Za Cieniem.

– O czym ty mówisz?

– Kto cię wyśnił?

Człowiek Z Obrzynem zaśmiał się. Miał przyjemny śmiech, ale Ojalikę i tak zirytował. Przeskoczyła po kamieniach na drugą stronę wody, raz tylko się nieco zachwiałszy. Sakwy z całym dobytkiem jej i szamana pozostały w krzakach.

Podniosła dubeltowy obrzyn, sprawdziła: załadowany brenekami. Zatrasnęła go i opuściła, odwiódłwszy kurki. Szyderczo wykrzywiona podeszła na trzy kroki do blondyna, nie zasłaniając jednak przy tym Podążającego Za Cieniem. Palec na osłonie. Kiedyś była gubernatorem tej planety.

– Ty mi powiesz wszystko, kochany, powiesz mi co tylko wiesz; sen czy nie sen, wołałbyś chyba zachować flaki wewnątrz, co?

– Zrób sobie przysługę i nie naciskaj spustu, okay? Różnie to bywa.

– Mów. Jesteś snem?

Spojrzał w niebo, wyduł wargi.

– Z Groty wyszedłem na ten świat. Jak on, mam swoje cele. Właśnie wypełniam jeden z nich. Sam śnię. Sam marzę. Sam nienawidzę mych stwórcy. To chcesz wiedzieć? – Potarł oko grzbietem dłoni, zniechęcony. – Lepiej już idźcie; i tak musicie się pospieszyć, żeby zdążyć przed nim.

– Przed kim?

Podążający Za Cieniem wiedział.

– Przed Zjadaczem Krwi.

Ojalika nic z tego nie rozumiała.

– Przecież to on jest twoim stwórcy, nie?

– Nie.

– Dlaczego mówisz o nim w liczbie mnogiej? Co to ma być, *pluralis maiestatis*?

Człowiek Z Obrzynem machnął ręką.

– Opuść ten łuk, Podążający. Po co to? Ja nic wam nie zrobię. Pamiętasz jednookiego kusznika? Opuść to. Ty, właśnie ty, powinieneś mnie pojąć. Jesteś snem o demonie zemsty człowieka. Ja jestem snem o duchu opiekuńczym ziemi. Czy możesz się sprzeciwić zawziętości swego polowania? Czy możesz się sprzeniewierzyć swym upodobaniom? Czy jesteś w stanie odwrócić swą pamięć? Potrafisz skłamać samego siebie? – Rozwinął koszulę, roztrzepał ją głośno. – Podążający Za Cieniem. Ojaliko. Żegnaj, Ojaliko. Idźcie już.

– Dokąd? – spytał szaman, z łukiem jednak opuszczonym i strzałą w kołczanie.

Blondyn wskazał za powalone piorunem niedrzewo. – Po moich śladach. Wstecz moją drogą. U jej końca – u jej początku... tam się z nim spotkacie.

Ojalika splunęła mu pod nogi.

– Manipulujesz nami, oto co robisz.

Człowiek Z Obrzynem sponurzał się coraz bardziej; początkowo niemal radosny, teraz zdawał się wcieleniem goryczy i depresji.

– Zejdźcie mi z oczu – wyszeptał. Wtem obejrzał się za siebie, otworzył szeroko usta. Coś widział, coś chciał zobaczyć – lecz niczego i nikogo za nim nie było. Padł na kolana, uderzył pięścią w kamienistą ziemię, pociekła krew. – Alicjo! – krzyknął z rozpaczą w niepuszczę. – Alicjo! Ja tego nie chciałem, ja nie chciałem!!

Ojalika, skonsternowana, spojrzała pytająco na Podążającego Za Cieniem.

– Miłości prześnione... – zanucił Cayuga. Ocknąwszy się, zerknął na kobietę. – Oddaj mu broń – mruknął.

– Ty w ogóle pojąłeś coś z tego, co on napłócił? – spytała, rzuciwszy strzelbę na piasek. – Co za jednooki kusznik?

Niechętnie wspominał. – To było jeszcze za Spieglassa. Zaatakowały nas jednej nocy trzy sępowniki. Widziałaś je kiedy? Nie mieliśmy szans. Naraz wyłazi skądś ten z samopowtarzalną kuszą; faktycznie miał jedno oko. No i załatwił gady: raz, dwa, trzy. Potem uciekł. Chciałem go tropić, ale Biały Diabeł się uparł.

– Ten z jednym okiem. Chudy, wysoki?

– Raczej niski, ale ani chudy, ani gruby.

Zmarszczyła brwi. – Nie było takiego na „Arce”. Mówił coś?

W odpowiedzi spojrzenie puste jak zawsze.

– Weź rzeczy. Musimy się pospieszyć.

Tymczasem Człowiek Z Obrzynem śpiewał cicho błagalną piosenkę ze swej nieistniejącej przeszłości:

– *Argentina, Arrr-gentinaaa...*

## Zejdźcie w mrok

Być może – ale tylko być może – on mówił prawdę i dzisiaj nareszcie dopadniemy Saint-Pierce'a. Być może – ale tylko być może – Saint-Pierce wyzna mi teraz wszystko, co wie o Bagnie. Być może – a to już jest naprawdę mocno wątpliwe – da mi owa wiedza władzę, dzięki której odzyskam pozycję i stanowisko. (Lecz nie urodę). Być może... Marzę, nic innego; śnię na jawie. Szlag by to. No, Luis, szybciej, szybciej! Chcę się już rozczarować i w końcu mieć to za sobą. Nic gorszego od fałszywej nadziei.

Jeśli z kimś się ścigali, to ze słońcem. Tędy, tędy, tędy – prowadził Podążający Za Cieniem. Wyżej i wyżej, po zboczu góry, wstecz po śladach owego snu. A słońce coraz niżej i cienie coraz dłuższe i niebo coraz ciemniej błotniste i wiatr już zimny. Dokąd tak gnamy? Do Groty, nigdzie indziej: tam zrodził się Człowiek Z Obrzynem. Musi się tu gdzieś w stoku znajdować wejście do niej. Ile ich tak naprawdę jest na tej planecie? Jeszcze za czasów Ojaliki zlokalizowano czternaście snotwórczych jaskiń, DeWonte zamknął nie więcej jak siedem – lecz ile ich później odnalazł? Nie wiadomo.

Szli już po nagim zboczu, niedrzewa pozostawili za sobą; kamienistą ziemię porastały tu jedynie jakieś krwistoczerwone krzaki o elastycznych kolcach wystrzeliwujących drobne zadziory w stronę każdej większej masy poruszającej się w promieniu kilku metrów. Ten łańcuch górski ciągnął się szeregiem strzępiastych, skalno-lodowych wypiętrzeń z północnego-wschodu na południowy-zachód setkami i setkami kilometrów, kroił im horyzont zębatami ostrzami w poprzek spojrzenia. Bagno – pomyślała Ojalika – jeszcze niedawno musiało przechodzić okres geologicznych niepokojów: nie zdążyła się dobrać erozja do tych gigantów. Jakieś kościste monstrum przeleciało pod obzartymi burzą niskimi chmurami, zniknęło za przełęczą; od niepuszczy, położonej poniżej i za plecami wspinających się, szedł

głęboki poszum roślinnego oddechu. Przestrzenie, przestrzenie.

Z początku wzięli to za jamę jakiegoś większego zwierzęcia. Ale nazbyt łatwe było podejście doń. Podążający Za Cieniem zajrzał. A tu i mrok nazbyt głęboki. Więc wszedł. Ojalika ciężko westchnęła, obejrzała się za siebie, na jasny świat, bo tak czynili w podobnych sytuacjach bohaterowie filmów, które za młodu oglądała – i wstąpiła w ciemność. Odwiedziła już kiedyś Grotę (jak dawno temu to było...) i pamiętała tunel prowadzący do schodów; powiedzieli jej: wszystkie Groty są takie same. Toteż tunel po prostu rozpoznała. Podążała za dźwiękami pozostawianymi dla niej przez Cayugę; i tak zabłądzić tu nie sposób, te korytarze nie posiadają żadnych odgałęzień, rzadko i łagodnie zakręcają. Nie zabłądziła i ona.

Szła jedyną możliwą drogą. Wilgotna ciemność dookoła, kamień w dotyku. Cayuga coraz dalszy, coraz gorzej słyszalny; już schodzi zapewne. W dół. W mrok. Szła, szła, szła. Bardzo pospolite, szare i płytkie miała teraz myśli. Bolały ją nogi. Przemieszczało się dziecko w jej brzuchu. Skaleczyła się o ostry występ, syknęła; przystanęła i zlizwała krew. Prześwietlił jej myśli wyblakły obraz z dzieciństwa: zabawy nad oceanem, piasek, wiatr, mewy, żelastwo z wodorastami wyrzucone przez przyływ na białą plażę – wyciągnęła rączkę, zagrzechotała łańcuchem i przecięła skrzepem rdzy skórę na wewnętrznej stronie dłoni. Uśmiechnęła się do siebie Ojalika w ciszy czarnego tunelu. Poczowała jak poruszył się jej luźno umocowany w dziąśle ząb. Z masochistyczną radością nacisnęła nań koniuszkiem języka. Uśmiechnęła się szerzej.

– Bezzębna staruszka – szepnęła.

– Prawdziwa – odparł mrok. Mrok był mężczyzną i mówił ciepłym basem.

Nie mogła uciec. Był wszędzie wokół niej. Otworzyła usta do krzyku – boleśnie świadoma, że nadal, nawet teraz, plagiatuje bohaterki tamtych filmów – i mrok wcisnął się jej do gardła. O czym myślała? Czyje były te myśli i jakie ich znaczenie? W owej chwili bowiem – w owej chwili tylko one jej pozostały. A to niewiele.

## Zjadacz Krwi

Wtedy wchodził, teraz schodzi. Jest w tym jakaś symetria; ale jest i chaos, i on przeważa. Grota Marzeń. Miejsce początku. Kolejna niemożliwość Ojaliki. Kolejna tajemnica. Nie mógł Podążający Za Cieniem zrozumieć jej bezsilnego gniewu. Są, są na świecie tajemnice. W jej świecie jednakże – w jej świecie nie było na nie miejsca. Nie wierzyła w Groty, jak nie wierzyła w śmierć Lee. Uważał to za przejaw pychy.

Aby zadośćuczynić objawionej jego umysłowi symetrii przeszłych zdarzeń, zaczął liczyć stopnie tych schodów. Jął nawet stukać w nie końcówką łączyśka, jak stukał był wówczas – lecz rytm dziś przezeń wybijany nie był tamtym rytmem. Dwa tysiące pięćset czterdzieści dwa, powiedział sobie – i dotknął stopą skalnej podłogi jaskini. To przypomniało mu o Ojalice.

Obrócił się i przekrzywił głowę, nasłuchując. Cisza zupełna jak ten mrok. Ojalika powinna schodzić tuż za nim; ostatecznie mogła się trochę oddalić, lecz i tak słyszałyby już jej kroki na spiralnych schodach. Tymczasem nie słyszał nic prócz swego oddechu i serca. Zaswędziały go blizny popalcowe. Sięgnął po strzałę – absurdalny gest: do kogóż miały strzelać w tych ciemnościach? Tutaj był ślepcem. Mógłby zapalić lampę naftową lub pochodnię – zaraz poprawił się: lampę niosła w swym worku właśnie Ojalika – lecz zapaliwszy ową pochodnię, sam stałby się doskonałym celem, a zobaczyć, zobaczyćby niewiele więcej. Cóż zatem ma począć? Zawołać ją? Z powrotem wspiąć się na górę?

Nagle zrozumiał: nie dość szybko byliśmy.

Zrozumiał: Zjadacz Krwi.

Zrozumiał: nie ma Ojaliki Otak.

Uczył cztery odmierzone kroki wstecz, dalej od schodów, twarzą skierowany ku najniższemu

stopniowi; odłożył na bok sakwę. Sięgnął do pasa po ostatni liść Ziela Spokoju, włożył go sobie do ust, zaczął żuć. Czekał. To umiał, w tym był dobry.

A jednak został zaskoczony. Pół oddechu: szum z wysokości, szum narastający, spadający prosto na niego – uskokzył. Coś łupnęło miękko o skałę. Jakaś ciecz opryskała Podążającego Za Cieniem; zliznął ją z policzka. Nie rozpoznał tego smaku, a powinien.

– Indianinie! – poniósł się obcy głos spod ciemnego sklepienia. – Indianinie! Śnie! Ja wiem, że tam jesteś!

Cayuga podszedł na oślep do roztrzaskanego na kamiennej posadzce przedmiotu. Tym przedmiotem było jej ciało. Wiedział o tym, zanim dotknął ciepłej miazgi jej głowy, zanim przesunął trójpalcą dłonią po nieruchomym jej ramieniu. Potem spojrział w górę, jakby rzeczywiście mógł dostrzec Zjadacza Krwi. Tam był tylko mrok.

– Indianinie! Daj słowo, to i ja dam!

Dać słowo – na co? Dać słowo – że czego nie zrobię? Słowo moje – na jednej wadze z jego słowem?

Podążający Za Cieniem wrócił na swoje miejsce, usiadł, skrzyżował z sobą nogi, z nimi skrzyżował łuk. Milczał. Żuł ziele. Miał zamknięte oczy. Był szamanem, znał się na czarach.

Nad Bagnem w tym czasie zaszło słońce, weszła „Arka” – drobny, jasny punkt, gwiazda pośród gwiazd.

Zaś w Grocie Marzeń niewiele się działo. Cisza. Ciemność. Śmierć.

Podążający Za Cieniem.

Zjadacz Krwi.

– Czy wiesz gdzie jesteś? – szeptał mrok. – Czy wiesz kiedy jesteś? Czy wiesz kim, czym jesteś? Czy wiesz czy w ogóle jesteś?

Szaman żuł ziele.

– Co z tego rozumiesz, a co wydaje ci się, że rozumiesz? – osaczał go wytrwale mrok. – W co jedynie uwierzyłeś? W co uwierzyć nie możesz? Pomyśl, Indianinie, pomyśl.

Z zamkniętymi oczyma.

– Ja będę mówił, a ty myśl. Opowiem ci historię. Wysłuchaj jej, nie odwracaj uwagi. Podążający Za Cieniem. Luisie Lavier. Śnie. Ja cię rozumiem, tropicielu.

Cichy odszept:

– Pokaż się.

Naraz jasność przebijająca czerwono przez powieki. Uniósł je.

– Ja – rzekł mrok stając się światłem.

Człowiek. Mężczyzna. Taki zwykły, taki przeciętny. Ani niski, ani wysoki; ani gruby, ani chudy. Ani się uśmiechał, ani ponurzał. Normalne ubranie ludzi z „Arki” miał na sobie. Lewa jego dłoń była małym słońcem, roztaczała blask wprost oślepiający; malowała po jego prawej wielkie, tłuste skrzydło głębokiego cienia, przemieszczające się razem z nim: podchodził. Szedł wyrównanym krokiem; ani się spieszył, ani zwlekał.

Tak, tak; ale to przecież jednak nie człowiek, rzekł sobie Podążający Za Cieniem. To Zjadacz Krwi.

## IACTE

Światło bijące z przedmiotu w ręce Zjadacza Krwi stworzyło także drugi cień: ten za szamanem. Wydarło z ciemności także drugiego nieczłowieka: trupa Ojaliki Otak.

Tropiciel nie raczył wstać. Cóż mógł mu Zjadacz Krwi uczynić, cóż mogło dotknąć zjawę rozsnuwającą się mgliście w niebyt? Jest pora na życie i jest pora na śmierć, to są rzeczy naturalne, zwykle jak kamień omszały i dźwięk przelatującej pszczoły. Od dnia, w którym przestał być dzieckiem,

Podążający Za Cieniem zdawał sobie sprawę, że nadejdzie taka chwila, kiedy to będzie musiał zapaść w sen, z którego się już nie obudzi; akceptował to – tak naprawdę właśnie świadomość nieodwracalności upływu czasu czyni człowieka dorosłym. Więc bał się zaledwie ewentualnego bólu umierania. Chciałby i jego się nie bać, lecz posiadał umiejętność jedynie panowania nad tym strachem. A jasnej oczywistości nieuchronności śmierci nigdy nie kwestionował, tak jak nie podnosił pięści na bogów, ani nie sprzeciwiał się zmarszczkom na swej twarzy. Trzykroć w swym dotychczasowym życiu przygotowywał się do odejścia; ostatnim razem czynił to poprzez odcieleśniające zapatrzenie w zachodzące nad Bagnem słońce – i długą chwilę zajęło mu wówczas wyjście z tego stanu, a potem ponowne rozbudzenie w sobie chęci życia, kiedy zorientował się w propozycji ratunku ofiarowywanej mu przez Ojalikę. To nie takie proste. Nie łatwo to zrozumieć osobie, która nie doświadczyła podobnej bliskości śmierci – a nie chodzi tu o śmierć w nagłej strzale, skrytobójczym ciosie, kłach niedźwiedzia. Nawet nie o śmierć wojowników, godzących się z przeszłością przed wyruszeniem na bitwę – bo oni jednak idą na bitwę, będą walczyć, nie ma w tym bierności i nie ma nieuchronności. Chodzi o senną, leniwą śmierć ludzi starych. O taką śmierć, kiedy siadając zimnym rankiem w otworze tipi patrzysz na świat niczym na piękny malunek i niczego po tym dniu się nie spodziewasz, niczego nie oczekujesz za wyjątkiem śmierci właśnie; bo na nią czekasz jak na wizytę starego przyjaciela, z którym rozstałeś się tak dawno, że nawet nie pamiętasz jakie było to rozstanie, w zgodzie czy w gniewie, i nie wiesz co przyjaciel powie, jak się zachowa ujrzawszy cię po latach – jest to jedyny rodzaj lęku jaki ma do ciebie dostęp, taki łagodny niepokój, nie poważniejszego: czasami wypatrujesz gościa z niecierpliwością, a czasami po prostu wolisz żeby przyszedł w inny dzień, jutro, pojutrze. Uśmiechasz się w myśli, uczestnicząc w dyskusjach, w których mowa o przyszłym miesiącu, roku. Lubisz ciszę, bo cisza oddala cię od teraźniejszości, pozwala na zanurzenie się we wspomnienia, bezpieczne swą niezmiennością; lubisz bezruch, lubisz ciepłą stagnację. Nie jest cię w stanie nic poruszyć, zranić – bo nie istnieje dla ciebie przyszłość, w której rzecz takowa posiadałaby jakiegokolwiek znaczenie, a poza tym nie chcesz, by przyjaciel zastał cię nieprzygotowanym. Twój spokój niewiele się różni od spokoju dziecka zamkniętego w łonie matki. To nie są uczucia motywowalne rozumowo.

Podążający Za Cieniem miał tę pewność: umrze. Zjadacz Krwi utracił nad nim wszelką władzę, nawet ową najpierwotniejszą władzę strachu.

Nieczłowiek zatrzymał się nad krwawą miazgą zwłok swej ofiary, kula sztucznego światła w lewej dłoni płonęła bezlistosnym ogniem wrzącego lodu.

– Mówię. To było tak. Lecieliśmy; leciałem: oni spali. Czas. Jego wina. Najpierw nieomal zabił mnie samego. Potem „Arkę”. Samotny, traciłem swą nieśmiertelność. Mimo niewyobrażalnej prędkości statku – to były lata i lata. Świnie to tylko zwierzęta; nie jest ważna krew, ważna jest ofiara. A czasu nie pokonasz. Słuchasz mnie, słuchasz? To dobrze. Słuchaj. „Arka”. W jednej czwartej drogi pomiędzy Słońcem a Trójcą, układem docelowym, z którego zarejestrowali ową emisję sztucznie modulowanego szumu – w jednej czwartej... tam, wtedy, było coś... czas... nierejestrowalna wcześniej czarna dziura, nagle, niespodziewane zawirowanie czasoprzestrzeni; nie wiem. Ledwo musnęło „Arkę”. Wystarczyło. Zrykoszetowało ją w nieskończoność: w pustkę, pomiędzy gwiazdy. Nic nie mogłem zrobić, zniszczenia były zbyt duże; wyczekiwałem przelotu w pobliżu jakiegoś obiecującego układu, by resztką mocy silników skręcić w bok, zahaczyć oń, wyhamować w polu grawitacyjnym... to było Bagno. I po cóż miałem ich budzić? Sam zstąpiłem na planetę. Słuchasz mnie? Podążający Za Cieniem? Rozumiesz moje słowa?

Śmierć. Śmierć. Zapaść w nią jak w sen. Powoli, spokojnie. Tak dobrze.

– Mówię. Żyję tu znacznie dłużej, aniżeli oni to sobie wyobrażają, setki lat. Tyle trwało, nim obudził się DeWonte. Ale nie ten czas najważniejszy. Oni nie pojmują Guillnaque, Bagna. Nic nie wiedzą; wszystko co ci o nim powiedzieli, to nieprawda. Wymyślają to sobie, żeby wyjaśnić niemożliwe. Nie

potrafią żyć z tajemnicą – zaśmiał się sucho. – A jak niby ja z sobą samym żyć miałem w mrokach średniowiecza? Akceptacja rzeczywistości to sztuka. Ja to umiem, ty to umiesz; ale nie oni. Kalekie dzieci. Zrozumieć Guillaque. Już, dzisiaj, jutro; szybko, szybciej, nie ma tajemnicy, nie ma tajemnicy; rok to wieczność. Nawet jakoś zabawny ten zapal. Chaos nie istnieje, wszystko ma swoje miejsce, wszechświat pracuje podług niezmiennych algorytmów. To też wiara, to też religia, choć oni myślą inaczej. Nauka. Ja przecież byłem przy narodzinach tego przesądu; nauka... A do końca połowa jej wyznawców nie uwierzyła we mnie; ja jestem z innej mitologii. Co za bzdury. Spadli tu z hukiem i w miesiąc wytłumaczyli sobie, co ja poznawałem wiekami; nigdy nie lubiłem fanatyków. Bardzo skutecznie się oślepiają. Nie zobaczą oczywistości. Nie chcą. Guillaque oszukuje ich na własne życzenie. To *IACTE*. Słuchasz mnie?

Słucha, ale nie słyszy. Ma własną rzeczywistość.

– Mówię. Taka jest moja prawda. Kto zbudował te schody? Trupy, jak oni je nazywają – a więc Trupy może? Widzisz przecież, że wysokość stopni i długość skretu nie odpowiada ich sylwetkom. Któż zatem? W proporcjach i rozmiarach są idealne dla ludzi. Ale przecież były tu przed DeWontem, były tu przede mną. Nie zadali sobie w ogóle takiego pytania, zbyt trudne byłoby wymyślenie odpowiedzi na nie. Co zrobili z wynikami badań tutejszej flory i fauny, co powiedzieli na ten dualizm ewolucyjny? Jak wytłumaczyli fakt, że mogą jeść tutejsze zwierzęta i rośliny? Konwergencja? Akurat! A Trupy? Też pominęli milczeniem? A sztuczne kratery na księżycach? Satelity wysokoorbitowe? Brak łączności z Ziemią? Podążający Za Cieniem? Słuchasz mnie? To ważne.

Głos Zjadacza Krwi. On mówi, ale ja umieram. To już niedługo. Już niedługo będzie tak mówił.

– Luis...? Czy wyjaśnili kiedykolwiek – to?

Obrócił małym słońcem w górę, w prawo. Światło skupiło się w szeroki stożek, uderzyło w niedosiężne sklepienie Groty. Podążający Za Cieniem mimowolnie zamrugał, z powrotem zanurzony w mroku, choć nie tak całkowitym; Zjadacza Krwi widział już tylko półcieniami, Ojalikę w ogóle.

– Popatrz. Spójrz na nich – rzekł nieczłowieczy morderca.

Spojrzał, bo i dlaczego nie miałby spojrzeć? A potem nie był już w stanie odwrócić wzroku. Światło Zjadacza Krwi padało na owalny fragment sklepienia groty łukowato przechodzący w krzywą ścianę. Lecz nie dotykało samej skały. Skałę krył bursztynowy kobierzec miękkiej lawy, łagodnie rozpraszający promienie w ciepłą aureolę. Właściwie wyglądała ona jakby sam z siebie emanował takim miodowym blaskiem. Tu, w ciemnym wnętrzu twardego ciała ziemi, sprawiała doprawdy niesamowite wrażenie. Żywica, pomyślał Podążający Za Cieniem, żywica kamienia.

– Nie widzisz – skonstatował Zjadacz Krwi. Drugą ręką sięgnął gdzieś w głąb osobistego mroku, wyjął zeń jakiś przedmiot i rzucił nim w Cayugę. Tropiciel schwycił go złudnie powolnym, sennym ruchem zmęczonego tancerza. Nie widział co trzyma w dłoni. Zjadacz Krwi skierował więc światło na niego. Szaman zamrugał, ciężko oślepiony. Słyszał stateczne kroki zlizującego się mordercy; światło zlągodniało, wracał Indianinowi wzrok.

Na brudnej skórze rozwartej pięści Podążającego Za Cieniem spoczywał romboidalny odłamek bursztynowej lawy naskalnej. Zaskakująco lekki, przyjemnie ciepły (czy aby nie ciepłym ciała Zjadacza Krwi?), w tak drobnym fragmencie promienną jasność wampirzego słońca rozpraszał w niewielkim stopniu: szaman doskonale widział wnętrze lawy. Jak w prawdziwym bursztynie, także w tym znajdowały się głęboko zatopione owady. Cztery; najprawdopodobniej tego samego gatunku; w ukośnym szeregu, w równych od siebie odstępach. Niewielkie, wielkości ludzkiego kciuka. Owady, pomyślał odruchowo Podążający Za Cieniem – ponieważ mnogością drobnych odnóży i domniemaną twardością organicznej okrywy przywodziły na myśl insekty; nie sposób było jednak wyróżnić w ich ciele głowy, tułowia czy odwłoku, nie mówiąc już o oczach i otworze gębowym.

Zjadacz Krwi wsunął swą rękę z wyciągniętym na wprost palcem w poziomy słupek białego światła.

– To właśnie są prawdziwi, pierwotni mieszkańcy Bagna.

Podążający Za Cieniem dumiał wciąż jeszcze o czym innym. Zastanawiał się mianowicie, zanurzony w uspokajająco powolnym nurcie swych myśli, w jakiż to sposób zdołał morderca odłupać ów kawałek podsufitnej żywicy, wszak bursztynowa lava znajdowała się dziesiątki dziesiątków metrów ponad podłogą Groty i daleko od spiralnych schodów.

– To oni zbudowali *IACTE* – ciągnął Zjadacz Krwi. – Są częścią pierwotnej flory i fauny Guillnaque. Rozumiesz mnie, Podążający Za Cieniem? Pojmujesz moje słowa?

Podążający Za Cieniem obracał w dłoni ciepławy niebursztyn.

Zjadacz Krwi przykucnął sześć kroków przed szamanem, słońce opadło wraz z nim, światło uderzyło prosto w źrenice Indianina, który przesłonił twarz poziomo uniesionym przedramieniem.

Zjadacz Krwi wrócił do intymnego szeptu:

– Owo zawirowanie czasu, o które otarła się była „Arka”, peryferie niemożliwej czarnej dziury... po wzajemnym przesunięciu gwiazd na sferze niebieskiej obliczyłem wartość uskoku. Ponad sto szesnaście tysięcy ziemskich lat, Luis. Sto szesnaście tysięcy lat. Gdy dowleliśmy się nad Bagno... wiedziałem z całą pewnością, że już dawno zostało skolonizowane. Jednak nie rejestrowałem żadnych radiowych szumów, ani z niego, ani z samej Ziemi; ani z jakiegokolwiek innego kierunku, żeby być precyzyjnym. Cóż, pomyślałem sobie, mogłem się spodziewać zmiany sposobów komunikacji. Ale gdy wylądowałem na Bagnie... – Zjadacz Krwi westchnął. – Trupy. Już wiesz kim oni są, prawda, Luis?

Niebursztyn w dłoniach; obrót za obrotem; i jeszcze raz, i jeszcze – zmaterializowana mantra.

– Wciąż zapominam jaki dzikus z ciebie. Ewolucja, Podążający Za Cieniem, ewolucja; nie oświecili cię? Sto szesnaście tysięcy lat; Bagno; *IACTE*. Tak musiało się stać. Już rozumiesz skąd te schody?

Szaman odezwał się po raz pierwszy:

– Co to jest – *IACTE*?

Być może Zjadacz Krwi uśmiechnął się; ani ciemność, ani światło nie dały na to najmniejszego znaku.

– Maszyna. Organizm. Bóg. Słowo. Idea. Myśl. Rzecz. Zwierzę. Generator Chaosu, Moderator Entropii, Akcelerator Probabilistyczny. *IACTE: Intdessivy ste Accelerattorio Cheaoss dlio Trie-prhobbilyvy sa Entrophy*, jak go zwali w dawno zapomnianym języku rytualnym długowieczni kapłani Trupów. To dlatego Bagno jest Bagnem. To dlatego żadne bardziej skomplikowane urządzenie nie może tu działać. To dlatego tak dzikie i szybkie mutacje się tu rodzą. To dlatego nie burzy praw wszechświata funkcjonowanie Grot Marzeń. Jeśli Anouki Spieglass był twoim ojcem – on spełnił rolę bogini płodności. *IACTE*. Rozumiesz mnie, Podążający Za Cieniem? Pojmujesz moje słowa?

## Chwile przeszłe, chwile przyszłe

– Taka jest moja legenda, w którą czasami wierzę, a czasami nie, utkałem ją sobie bowiem z faktów, domysłów, snów i wyobrażeń oraz legend cudzych; taka jest moja legenda: była wojna. Mieszkańcy Guillnaque walczyli, może z sobą, może z jakimś najeźdźcą z zewnątrz; zwykłem podstawić do tej roli ludzi, ale, szczerze mówiąc, nie wydaje mi się to nazbyt prawdopodobnym. Mam duże kłopoty z w miarę precyzyjnym ustaleniem wieku danego przedmiotu czy zdarzenia na Bagnie. A więc walczyli. I zrozumieli, że nieuchronna eskalacja zbrojnych zmagania doprowadzi do całkowitego zniszczenia Guillnaque, a zapewne i tragedii na znacznie większą, gwiazdną skalę. Wiem, że broń, jaką dysponowali... widziałem ją: nawet dla mnie cuda, dla ciebie potęgi i myślą niewyrażalne. Mieli urządzenia, twory służące do odwracania biegu strumienia czasu, przepowiadania przyszłości i przeszłości, podróży wskroś możliwości, wywoływania przypadku, spalania przestrzeni, gaszenia i zapalania gwiazd... Ale zrozumieli, że każdy atak z ich strony ostatecznie obróci się wielokrotniony

przeciwko nim samym, i że jedynym wyjściem jest obrona totalna, to znaczy taka, w obliczu której także wróg nie tylko, iż nie będzie mógł atakować, ale nawet nie będzie chciał. Zatem stworzyli *IACTE*, który zawiera w sobie wszystkie te maszyny, dysponuje wszystkimi ich mocami, a prócz tego posiada własne specyficzne zdolności, wynikające nie tylko ze skrzyżowania i spotęgowania zapożyczonych. Widziałem go, w każdym razie jego część. Istnieje w więcej, niż czterech wymiarach. Jego obroty, ruch – wynurzają go i na powrót zabierają z naszej przestrzeni. On między innymi wpływa na wysokość funkcji falowej dowolnego obiektu we Wszechświecie, z mocą wprost proporcjonalną do odległości odeń. Przejście tunelowe, ta czarna magia fizyki kwantowej, dopuszczająca w zgodzie z ich doktryną wiary w logikę – niemożliwe; przejście tunelowe zezwala na twoje istnienie tutaj i teraz, „śnie”, ponieważ nie ma takiego czasu i miejsca, w którym wartość twojej funkcji falowej wynosiłaby zero. A chociaż w tym przypadku jest to liczba ekstremalnie niska, *IACTE* jest w stanie ją dowolnie zwielokrotnić i uczynić jak najbardziej prawdopodobnym – koniecznym – zaistnienie na Bagnie konkretnego, wymyślonego przez Spieglassa Indianina, Indianina pamiętającego jako swą naturalną przeszłość – marzenia Anoukiego. *A propos* – ja piłem i jego krew, wiedziałeś o tym? To ja jestem praprzyczyną jego obłądzenia, a więc poniekąd i twoim stwórcą. Wiedziałeś?

Nie.

– Teraz *IACTE* pracuje zaledwie ułamkiem promila swej mocy, lecz i w tym stanie uśpienia zdołał zneutralizować „Arkę” oraz uczynić bezsilnymi kolejnych najeźdźców; bo to przecież był najazd, nic innego, drugi, a może nawet trzeci najazd człowieka na Guillaque.

Podążający Za Cieniem włożył w poziomy słup światła ściskany w spoconych dłoniach ułamek niebursztynu.

– Ta rzecz...? Oni...

Próbował zrozumieć magię, ale jedyne co zrozumiał, to to, iż Zjadacz Krwi jest dalece potężniejszym szamanem, daleko bardziej szalonym.

– Oni – przytaknął morderca niedoartykułowanemu pytaniu Cayugi. – Nie oczekuję, że pojmiesz tę logikę przyszłości. Ale wiem, iż zaakceptujesz prawdę. To nie są ludzie, widzisz, to w żadnym razie nie są istoty ludzkie. Uznaj je za demony obcych słońc, obcych planet. Wiesz co to planeta?

Słowo.

– Żyją?

– Nie wiem. Tak ich zastałem, zatopionych w zimnej, organicznej lawie. Na powierzchni zaś ani śladu po nich, jak również po florze i faunie ich świata: *IACTE*, przybycie ludzi, czas... Tylko w Grotach. I rzadko w której widać ich tak na pierwszy rzut oka, zamrożonych na powierzchni kamienia. Więc istnieje jakiś związek pomiędzy nimi a kreatywnymi mocami Grot Marzeń; być może tak naprawdę to ich snem jesteś, Luis, być może oni wcale nie umarli. Chociaż lubię myśleć o Grotach jako o cmentarzach; ale to moje prywatne ksenonekrofiliczne zboczenie.

Wtem ujrzał Podążający Za Cieniem siebie samego z zewnątrz: rozmawiał ze Zjadaczem Krwi, prowadził z nim dialog; Zjadacz Krwi nagiął jego wolę, zbezczeszczona będzie śmierć. Źle się dzieje. Cisnął niebursztynem w wampirze słońce. Morderca westchnął.

– Nie wypieraj się mnie – szeptał szorstko. – To ja jestem twą zwierzyną.

– Zamilknij.

– Myślisz, że dlaczego ci to wszystko mówię? Dlaczego się z tobą spotkałem? Polowałeś na mnie latami. Myślisz, że dlaczego posyłałem pod Piszczele moje sny, te skretyniałe potwory? Sądzisz, że chodziło o krew? Już powiedziałem: ważna jest ofiara. A ja mogę sobie wyśnić w Grotach dowolną ilość ofiar.

– Dość!

– Chciałem ich rozeźlić, sprowokować; ale rozczarowali mnie. Tylko ty jeden mnie ścigałeś, ty jeden

tropiłeś, ty jeden szedłeś po mych śladach, marzyłeś o mej śmierci; ty jeden prowadziłeś łowy.

– ...

– Moje życie trwa już tysiące lat. Nie było takiego czasu, w którym by na mnie nie polowano. Jestem zwierzyną. Ty jesteś łowcą. Rozumiesz, Podążający Za Cieniem? Pojmujesz moje słowa?

– Nie!

– Ja ci daruję wieczne życie. Wieczne życie, Luis. Będziesz mnie tropił. Będziesz mnie tropił przez Bagno. Słyszysz? Ja wierzę, wierzę, wierzę w ciebie.

Nieprawda. Kłamstwo. Niemożliwość.

– Nie umrzesz, Luis.

– Umrę!

– Nie umrzesz. Nie umrzesz. Spójrz na mnie.

Złagodził blask swego słońca i skierował jego promienie również na siebie.

– Morderco – wysyczał Podążający Za Cieniem.

– Co?

– Widzę krew niewinnej na twojej twarzy.

Zjadacz Krwi długo milczał.

– Ale to już się stało – rzekł wreszcie cicho, acz stanowczo. – Już się dokonało i należy do przeszłości. A teraz jest inna chwila; i teraz daję ci szczęście. Szczęście w nieskończoności chwil przyszłych. Potrafisz to zaakceptować; wiem. W gruncie rzeczy pochodzimy z tego samego świata.

Zjadacz Krwi przemówił tymi słowami do najpierwotniejszej logiki szamana; i zgodnie z tą logiką miał rację. Lecz popełnił błąd rozszerzając promień światła swego ręcznego słońca i tym samym wyjmując z mroku ciało Ojaliki. Już nie byli sami w tej chwili.

– Morderco – powtórzył Podążający Za Cieniem rozciągając usta w okrutnym, dzikim uśmiechu – i Zjadacz Krwi pojął, iż przegrał batalię o obłęd Cayugi.

Ponieważ jednak nigdy nie przegrywał zupełnie i do końca, rzekł mu w odpowiedzi, podnosząc się i wyprostowując:

– A zatem pochwyć mnie i zemścij się. Mnie naprawdę można zabić.

– Dobrze.

## Chwila ostatnia: śmierć

Podążający Za Cieniem krzyknął w mrok i mrok krzyknął Potworem. Potwór skoczył na Zjadacza Krwi i przegryzł mu gardło. Zjadacz Krwi zwałił się na kamienną posadzkę jak mokra skórzana kukła. Słońce wypadło mu z dłoni, potoczyło się po skale. Potwór przyniósł je w pysku i położył przed Podążającym Za Cieniem: była to kula wściekle fosforyzującego roślinnego miększu w plastikowej obejmie, identyczna z tą, którą oświetlał był Grotę jego narodzin Biały Diabeł. Szaman podniósł ją, wstał i podszedł do rzeźącego Zjadacza Krwi. Wciąż widział Ojalikę.

– Dlaczego? – spytał modlitewnym głosem. – Dlaczego ją zabiłeś?

Zjadacz Krwi łapał się rozdygotanymi dłońmi za poszarpane szczękami Potwora gardło, ciemna ciecz bulgotała mu pomiędzy palcami, wytrzeszczał oczy na Cayugę, usta w bladej twarzy miał jak drugą krwawą ranę.

– Jaaa... – zacharczał – jestem... waaampirr...

Podążający Za Cieniem zrozumiał; pochodzili z tego samego świata.

– Aaaachhlee... dłączrr... czcz... tyyyy...

Cayuga w milczeniu wskazał jej ciało.

– Była w ciąąą... ciążyyyy... cz-czy to dlatekkkoo...?

- Wiedziałaś.
- Ocz-czywiiiśśśśśchrr... pileeeem jej krw...
- Umrzyj już.

Długo to trwało. Podążający Za Cieniem przysiadł na piętach przy głowie konającego; głąskał w zamyśleniu brudną sierść Potwora, Potwora rozsuwającego się w miękki mrok, na powrót w mgłę niebytu, z którego został wymarzony. Podążający Za Cieniem był bardzo spokojny. Myślał teraz o śmierci i o Człowieku Z Obrzynem.

Już nie biła krew z szyi jej Zjadacza; nie powinien żyć.

– Nie, to nie dlatego – odezwał się nagle w zimną przestrzeń jaskini szaman.

Konający tchnął coś w ciszę; jakieś pytanie.

Zbliżywszy swe wargi do ucha martwego Saint-Pierce'a, Podążający Za Cieniem szepnął mu konfidencko: – Była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem. – A ponad Zjadaczem Krwi widział ohydne zwłoki Ojaliki Otak.

Potem sprawdził puls i oddech zwierzyny, odciął jej głowę i rozbił na miazgę. Ciało kobiety pozostawił nietknięte.

Wspiął się razem z Potworem po spiralnych schodach; wyszli z tunelu w gwieździstą noc nad Bagnem. Potwór był już tylko bladym powidokiem samego siebie.

Indianin usiadł na stoku. Orzeźwiający, chłodny wiatr wiał mu w twarz znad niepuszczy. Księżyc seledenił się na czarnym nieboskłonie, ścigała się z nimi szybka, bo bliska gwiazda „Arki”. Potwór, coraz mniej i mniej realny, wył do nich niemo.

Podążający Za Cieniem uśmiechał się do siebie z jakimś sennym samozadowoleniem. Wyjął swój zapomnianą nocą wyrzezany z niedrewna flet i zaczął na nim cicho grać w ciepłą ciemność. Był teraz szczęśliwy.

*Jacek Dukaj*  
*sierpień 1994 – czerwiec 1995*

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)